

REMIJUSZ **MRÓZ**

**CHÓR
ZAPOMNIANYCH
GŁOSÓW**

 GENIUS
CREATIONS

Remigiusz Mróz

Chór zapomnianych głosów

Genius Creations
Bydgoszcz 2018

Chór zapomnianych głosów
Copyright © Remigiusz Mróz
Copyright © Wydawnictwo Genius Creations
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak
Copyright © for the cover art by Leszek Woźniak

Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie drugie, Bydgoszcz 2018 r.

książka w miękkiej oprawie ISBN 978-83-7995-195-6

audiobook ISBN 978-83-7995-198-7

epub ISBN 978-83-7995-196-3

mobi ISBN 978-83-7995-197-0

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski

Redakcja: Bartosz Czarnecki

Korekta: Marta Kładź-Kocot

Projekt okładki i adiustacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski

Ilustracja na okładce: Leszek Woźniak

Skład i typografia: www.proautor.pl

MORGANA Katarzyna Wolszczak

ul. Kormoranów 126/31

85-432 Bydgoszcz

sekretariat@geniuscreations.pl

www.geniuscreations.pl

Książka dostępna w księgarni: www.MadBooks.pl

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Spis treści

[Dedykacja](#)

[Rozdział 1](#)

[O Autorze](#)

*Pamięci Piotra
A. Dobkowskiego
(1949 – 2014)*

Rozdział 1

1

Håkon Lindberg z trudem złapał oddech, budząc się z kriogenicznego snu. Przez przerażająco długi moment nie wiedział, gdzie się znajduje. Potem uświadomił sobie, że leży w przeszklonej komorze.

Nie powinien się wybudzić, jeszcze nie teraz.

Jak przez mgłę zobaczył pochylającą się nad nim postać. Zamrugał kilkakrotnie, ale obraz pozostał rozmazany. Gdy po szybie zaczęła ściekać krew, Håkon uświadomił sobie, że nikt się nad nim nie pochyła – na osłonie leżało ciało. Strużki czerwonej mazi oplatały szybę jak pajęczyna.

Lindberg wydał z siebie stłumiony krzyk.

Nie powinien tego widzieć. Miał pozostawać w diapauzie, aż okręt osiągnie cel podróży. Nawet w przypadku zagrożenia systemu statku nie powinny przerywać sztucznie indukowanego snu, gdyż astrochemik na nic nie przydałby się podczas kryzysu.

A mimo to był przytomny i z przerażeniem obserwował, jak posoka spływa po kapsule. Po chwili ciało się z niej zsunęło, a Lindberg spróbował się poruszyć. Kończyny ani drgnęły, za to udało mu się językiem wypchnąć z gardła metaliczną rurkę.

Wyświetlacz nad nim nie działał i Håkon nie wiedział, jak długo pozostawał w diapauzie ani co dzieje się na pokładzie. Oświetlenie przeszło w stan alarmowy, rozświetlając mrok czerwonymi, płomienistymi rozbłyskami.

Nagle kolejne ciało z impetem spadło na osłonę kabiny. Zanim się po niej osunęło, Håkonowi wydało się, że rozpoznał insygnia dowódcy. Trudno było jednoznacznie przesądzić – nieszczęśnik miał rozłupaną czaszkę, z której wylewało się mózgowie. Połowa twarzy była zmiażdżona, a obnażone, oblane krwią zęby sprawiały niehumanitarne wrażenie.

Lindberg zamknął oczy i poczuł, że się trzęsie. Przemknęło mu przez

myśl, że będzie następny.

Zaraz potem uniosła się przesłona komory. Zwłoki spadły na podłogę, a krew zaczęła skapywać na astrochemika. Ten wyrwał rurkę z gardła, zgiął się wpół i zaniósł chrapliwym kaszlem. Obezwładniający szum w głowie sprawiał, że nie mógł pojąć, co dzieje się wokół.

Wyskoczył z komory, zahaczając o jej brzeg. Zwalił się na ziemię, po czym przetoczył kawałek w bok, licząc, że cudem uniknie śmierci. O podniesieniu się nie było mowy. Nie słyszał nic poza ogłuszającym szumem, ale był przekonany, że wokół trwa kakofonia jęków i cierpienia. Nie ulegało wątpliwości, że ISS Accipiter zmierzał ku otchłani, współ z całą załogą. Otwartą kwestią było, co się wydarzyło.

Gdy szmer ustał, astrochemik nie usłyszał niczego poza nieznanym, zachrypniętym głosem.

– Przestań się toczyć jak poparzony.

Håkon poczuł, że mężczyzna złapał go za przegub dłoni. Obrócił się i spojrzął na pochylającego się nad nim człowieka. Zamrugał kilkakrotnie i niewyraźnie dostrzegł ogorzałą twarz, płaskie czoło, głęboko osadzone oczy. Nie przypominał sobie tego oblicza, ale nie było to nic nadzwyczajnego – na pokładzie Accipitera znajdowało się kilkuset załogantów. Lindberg znał może dwudziestu.

Próbował wychrypieć pytanie, ale struny głosowe jeszcze nie doszły do siebie po długiej diapauzie.

– Nie szarp się, wszystko jest w porządku – powiedział mężczyzna, patrząc na plaketkę z imieniem i nazwiskiem na kombinezonie astrochemika.

Dopiero wówczas Håkon zaskoczył i zrobił to samo. Dija Udin Alhassan. Kolorystyka jego uniformu świadczyła, że wchodził w skład korpusu nawigatorów. Było ich dziesięciu, góra piętnastu. Sama śmietanka załogi. Nawet nie zapuszczali się do mesy, gdzie podczas pierwszych kilku dni kotłowała się reszta.

– Dija Udin – przedstawił się mężczyzna, spoglądając na swoją plaketkę. Poklepał Håkona po ramieniu, a następnie potoczył wzrokiem wokół. – Makabra – dodał.

Lindberg skinął głową, choć sądził, że to określenie jest niedomówieniem.

Chwilę trwało, nim astrochemik wreszcie dobył głosu.

– Co się stało? – zapytał cicho, starając się podnieść.

– Nie wiem – odparł Alhassan. – Ale cokolwiek to było, wygląda na to, że obaj przeżyliśmy.

– Oby nie jako jedyni.

Dija Udin wzruszył ramionami.

– Szedłem tutaj z drugiej komory kriogenicznej – odezwał się. – Nikogo żywego po drodze nie widziałem.

– Co? – rzucił Lindberg, uświadamiając sobie, że rozmówca musiał zostać wybudzony z diapauzy jako jeden z pierwszych. W przypadku zagrożenia kolejność była jasna – najpierw dowódca i ochrona, potem nawigatorzy, mechanicy i cała reszta. Na końcu astrochemicy i inni badacze, którzy mogli tylko przeszkadzać.

– Co, do kurwy nędzy... – zaczął Håkon, wspierając się o ścianę i próbując wstać.

– Spokojnie.

– Spokojnie? – zachnął się Lindberg. – Rozejrzyj się wokół, człowieku. Zatoczył ręką krąg, co kosztowało go trochę sił.

– Najważniejsze, że żyjemy – odparł Dija Udin. – Resztą będziemy się martwić, jak będziesz w stanie chodzić. A na razie bezpieczeństwo zapewnia nam to. – Poklepał się po kaburze, którą krzywo umocował do paska. Niewątpliwie po drodze zahaczył o zbrojownię, zabierając z niej służbową beretę.

Håkon z trudem oparł się plecami o ścianę i omiótł wzrokiem pomieszczenie. Znajdowała się tu co najmniej setka komór do diapauzy, wszystkie ustawione były w równych rzędach, jak mogiły na cmentarzu. Żadna nie przetrwała hekatombi. Z niektórych załoganci zdążyli wyjść, reszta zginęła w środku. Podłoga spływała krwią i wnętrznościami, w powietrzu unosił się smród ekskrementów.

– Podobno te osłony miały być nie do przebicia – powiedział Alhassan.

– Ale najwyraźniej ktoś znalazł sposób.

– Obcy?

Dija Udin zaśmiał się pod nosem.

– Jesteś jednym z tych, którzy wierzą w inne cywilizacje, co? – zapytał, znów klepiąc Lindberga po ramieniu. Sprawiał wrażenie, jakby był w zupełnie innym świecie. – No tak, naukowiec. W Europlanet wszyscy chyba wierzą w...

– To nie kwestia wiary, tylko prawdopodobieństwa – uciął Håkon, nie mając ochoty na płonne rozważania. Z trudem przełknął ślinę, uzmysławiając sobie, że większość rozbebeszonych ciał wokół to w istocie jego znajomi, inni pracownicy Europlanet.

– Będziesz rzucał freski? – zapytał Alhassan.

– Co?

– Będziesz rzygać? Wyglądasz, jakby ci podchodziło.

– Nie – odparł Lindberg, patrząc na rozłupaną czaszkę dowódcy, który chwilę wcześniej osunął się na jego komorę. – Dlaczego on tu jest?

Dija Udin obrócił się w kierunku przełożonego.

– Przecież w tej kabinie byliśmy tylko my, Europlanet wynajął ją specjalnie...

– Bo byliście wybudzani jako ostatni – odparł Alhassan, również opierając się przy ścianie. – Dowódca musiał uznać, że to ostatnie miejsce, gdzie spotka kogoś żywego.

Håkon potrząsnął głową.

– Opowiedz mi, co się stało. Od początku do końca. Byłeś przecież na mostku, prawda?

– Nie – odparł nawigator, wpijając wzrok w mrugające na czerwono oświetlenie. Wziął głęboki oddech. – Coś musiało nawalić. Obudziłem się jako jeden z ostatnich.

Astrochemik spojrział na ciało kapitana, zastanawiając się, jaka broń mogła rozplatać mu czaszkę w ten sposób. Z pewnością nie beretta jego rozmówcy, ale mógł przecież użyć czegoś o większym kalibrze. Zbrojownia stała przed nim otworem.

– Kto to zrobił? Jak... dlaczego? – zaczął mamrotać naukowiec.

– Wszystkiego się dowiemy, zapewniam cię.

Håkon spojrział na swojego towarzysza.

– Czego więcej byś chciał? – zachnął się Dija Udin. – Nie mam żadnych odpowiedzi. Po drodze wszędzie widziałem takie same obrazki jak tutaj.

– Ktoś nas zaatakował? – zapytał Lindberg.

– Słuchasz mnie w ogóle?

– Obca cywilizacja? Nawiązaliśmy...

Alhassan obrócił się powoli do astrochemika, a następnie przywalił mu z otwartej dłoni. Håkon potrząsnął głową, ale nawet się nie odsunął.

Uświadomił sobie, że jego instynkt samozachowawczy szwankuje.

– Jak odzyskasz siły, pójdziemy na mostek – powiedział Dija Udin.

– Ale...

– Mam cię strzelić jeszcze raz? Bo mogę tak bez końca.

Lindberg spojrział na otwarty właz do korytarza. Jego umysł powoli zaskakiwał na odpowiednie tory.

– Ktokolwiek to zrobił...

– Albo cokolwiek – zauważył Alhassan.

– Może nadal tu być, czyhać gdzieś na nas – dokończył Håkon. – Dowódca padł na moment przed tym, jak otworzyłeś moją kabinę.

Dija Udin spojrział na rozmówcę i przez moment trwał w bezruchu. Potrząsnął głową, po czym podniósł broń poległego dowódcy i wsadził ją naukowcowi w rękę.

Lindberg zważył berettę w dłoni. Wprawdzie nie umiał się nią posługiwać, ale przypuszczał, że nie będzie miało to żadnego znaczenia. Cokolwiek wyrznęło całą załogę w pień, poradzi sobie także z dwoma niedobitkami. O ile to nie sam Alhassan sprowadził na Accipitera zagładę.

2

Odczekali dobry kwadrans, wbijając wzrok w otwartą śluzę po drugiej stronie pomieszczenia i czekając. Nic się nie pojawiło, z korytarza nie doszły ich żadne dźwięki. Oświetlenie alarmowe nadal wypełniało wnętrze Accipitera czerwonym blaskiem.

– Trzeba się ruszyć – powiedział Dija Udin. – Proponuję zacząć od mostka. Ryba zawsze psuje się od głowy, ale w ISS-ach najdłużej wytrzymuje właśnie łeb.

Håkon skinął głową. Na tym etapie był gotów zrobić wszystko, byleby dowiedzieć się, co wydarzyło się na pokładzie. Nawet, jeśli miałyby połączyć siły z tym, który ich wszystkich pomordował.

– Idziesz?

– Tak – odparł Lindberg.

Ruszyli w kierunku wyjścia, powoli i ostrożnie.

– Skąd w ogóle jesteś?

– Europlanet.

– Tyle widzę. Miałem na myśli to, gdzie się urodziłeś, wychowałeś, pierwszy raz zanurzyłeś się w kobiece włości. Chyba, że wolisz facetów? Z naukowcami nigdy nie wiadomo.

Wyszli na korytarz. Alhassan omiół go wzrokiem, trzymając palec na spuście beretty.

– No? – ponaglił Håkona.

– Federacja Skandynawska.

– Szwecja? Norwegia? – dopytał Dija Udin, gdy ruszyli w kierunku jednej z wind.

– Federacja.

– Oho, widzę, żeś unionista. W porządku, wybacz, że pytałem.

Lindberg zbył tę uwagę milczeniem, nie mając ochoty wdawać się w polityczne memłanie.

Mijali całe stopy trupów. Wszystkie w nienaturalnych, wykręconych pozach, z cierpieniem zastygłym na twarzach. Jakby śmierć była niewystarczająca. Jakby ktoś zadbał o pośmiertną udrękę.

– Truchło na truchle – zauważył Alhassan.

– Co?

– Tylko mówię. Chcę nawiązać rozmowę. Wymianę myśli.

– Jesteś nienormalny, człowieku? – zapytał astrochemik, patrząc na towarzysza niedoli. Naraz jednak uświadomił sobie, że lepiej będzie, jeśli skupi się na korytarzu i stosach martwych załogantów. Gdzieś pośród nich mógł znajdować się ktoś, kto cudem ocalał.

– Chciałem po prostu pogadać.

– Mhm – mruknął Håkon.

– Poza tym zastanawiam się, co mogło ich tak rozbebeszyć – ciągnął dalej Dija Udin. – Nie wygląda mi to na robotę wykonaną ludzką ręką.

– Mówisz z doświadczenia?

Alhassan zatrzymał się i obrócił do swojego towarzysza.

– Rozumiem, że jesteś w szoku – zaczął. – I może ci się wydawać, że jako jedyny ocalały, miałem z tym coś wspólnego. Ale ja mogę to samo powiedzieć o tobie.

– Niezupełnie. Ty znalazłeś mnie w komorze.

– Mogłeś do niej wskoczyć zaraz po tym, jak wyrznąłeś całą załogę.

– Sam otworzyłeś kapsułę. Widziałeś, że byłem w diapauzie.

– Mogłeś udawać.

Przez moment patrzyli sobie prosto w oczy. Żaden z nich nie miał ochoty ciągnąć dalej tej rozmowy, ale Håkon przypuszczał, że jeszcze nieraz do niej wróca. O ile przeżyją na tyle długo.

Astrochemik odchrząknął i wskazał korytarz prowadzący do windy.

– Idziemy? – zapytał.

Alhassan skinął głową. Ruszyli, lawirując pomiędzy ciałami. Część była tak zmasakrowana, że nie sposób było rozpoznać twarzy. Ludzkie wnętrzości pokryły ściany, w niektórych miejscach przesłoniły boczne oświetlenie.

– Można się uczyć anatomii – zauważył Dija Udin. – Tam jelita, tu nerka...

Håkonowi zrobiło się niedobrze. Wszystko to sprawiało wrażenie, jakby ktoś wpuścił tutaj wściekłą, nieposkromioną bestię.

– Wszystkiego się dowiemy na mostku – dodał Dija Udin. Skandynaw nadal nie odpowiadał, więc powtórzył to jeszcze raz. Po chwili dał za wygraną. Obserwowali rozplątane ciała i czuli, że śmierć podąża tuż za nimi.

Weszli do niewielkiej, czteroosobowej windy.

– Będzie działać? – zapytał Alhassan.

– Skąd mam wiedzieć?

– Jesteś naukowcem, nie?

– Astrochemikiem, nie specjalistą od wind.

– Jeden pies.

Håkon przesunął palcem po wyświetlaczu ściennym. Aktywował się, ale winda ani drgnęła. Na ekranie pojawiła się informacja, że systemy statku przeszły w tryb oszczędzania energii.

– Nie pojedziemy – powiedział Lindberg.

– Po co to ustrojstwo się, kurwa, włączyło?

– Samo się nie włączyło – odparł Håkon. – W sytuacji zagrożenia aktywuje się szereg systemów, ale nie oszczędzanie energii.

– A jednak coś wiesz. Nie masz całkiem pustego czerepa.

– Znam procedury awaryjne, to wszystko.

– Po jaką cholere?

– To mój pierwszy lot. Wolałem...

– To twój pierwszy raz w przestrzeni? – Alhassan zaniósł się śmiechem, klepiąc Lindberga po plecach. – W takim razie gratuluję.

Straciłeś dziewictwo z niezłą pompą.

Håkon wyszedł z windy i rozejrzył się. Wyobraził sobie dowódcę, który musiał biec tym korytarzem nie dalej jak dwa kwadranse temu. Zaraz za nim musiał pędzić Dija Udin – wszak od momentu, gdy Lindberg zobaczył trupa na komorze, do momentu, gdy uniosła się osłona, minęło ledwie okamgnienie. A droga z windy była tylko jedna.

Sukinsyn go gonił. Nie było innej możliwości.

Na razie astrochemik postanowił zatrzymać to przemyślenie dla siebie.

– Którędy dotarłeś na ten pokład? – zapytał, gdy Dija Udin wychynął na korytarz.

– Następną windą.

Przeszli kawałek, ale i ona nie działała. Alhassan wzruszył ramionami, po czym zabrał się za odmontowywanie klapy w suficie. Po chwili zrezygnował.

– Nie da rady, siedzi twardo – powiedział. – Pewnie to jakieś środki bezpieczeństwa. Konstruktor nie chciał, żeby królowa obcych dostała się do szybu, czy co tam wymyślacie sobie w tych swoich science fiction.

Håkon spuścił na to zasłonę miłosierdzia.

– Wcześniej działała – zarzekł się Dija Udin. – Jest inna droga?

– Nie wiem.

– Jako osoba żywo zainteresowana sytuacjami kryzysowymi, powinieneś to wiedzieć.

Lindberg sięgnął pamięcią do specyfikacji ISS Accipitera. Przed wylotem spędził kilka wieczorów przeglądając plany pokładów, ale nie analizował ich na tyle skrupulatnie, by pamiętać rozkład szybów ratunkowych. Zresztą nie wiedziałby nawet, jak otworzyć jeden z nich.

– Trudno – zawyrokował Alhassan. – Będziemy poruszać się po omacku, póki nie trafimy na występ w ścianie sugerujący, że...

– Włazy do szybów zostały tak skonstruowane, by nikt niepowołany ich nie znalazł – wtrącił Lindberg. – Względy bezpieczeństwa.

Pozwolił sobie na blady uśmiech, ponieważ mitygując się, że nie powinien tak odnosić się do człowieka, który mógł wybić całą załogę.

– W takim razie co proponujesz, naukowcu?

– Myślę, że...

– Niech mnie chuj – przerwał mu Dija Udin. – Która godzina?

Håkon rzucił okiem na emanujący czerwienią wyświetlacz obok. Po

piątej czasu Zulu. Wskazał go towarzyszowi, a ten natychmiast rozejrzał się wokół, jakby starał się umiejscowić względem jakiegoś abstrakcyjnego punktu.

Zaklął jeszcze kilka razy pod nosem, a potem uniósł otwarte dłonie na wysokość głowy, jednocześnie ją pochylając.

– *Allahu akbar*. – Skrzyżował ręce na piersi, a potem znów je uniósł. – *Allahu akbar. Allahu akbar. Allahu akbar. Aszhadu an la Ilaha Illal-lah*.

Håkon obserwował to z rosnącą konsternacją, podczas gdy jego towarzysz powtarzał tekst modlitwy, a po chwili padł na ziemię i zaczął wykonywać czołobitne pokłony. Skandynaw rozejrzał się wokół, przełykając ślinę.

– *Aszhadu anna Muhammadan Rasulullah*.

Lindberg przypuszczał, że nawet jeśli załoga nie zdołała nadać sygnału alarmowego, musiały to zrobić systemy Accipitera. Mimo że znajdowali się wiele parseków od Układu Słonecznego, ansibl sprawdzał się bezbłędnie. Problemem nie była komunikacja, a to, jak wysyłać człowieka w kosmos z prędkością większą niż światło.

– *Allahu akbar. La Ilaha illal-lah*.

Podczas gdy Alhassan zawodził w najlepsze, Håkon podjął decyzję. Było kilka możliwości działania, z czego tylko jedna zdawała się być dobra. Nie była bezpieczna, ale dzięki niej przynajmniej istniała szansa, by dostać się na mostek.

Począł, aż muzułmanin zakończy modły, przyglądając się temu z zaciekawieniem. Po raz pierwszy widział człowieka zmagającego się z modlitwą. Takie rzeczy stanowiły tabu – i od kilku dekad było nie do pomyślenia, by ktokolwiek spoza wspólnoty obserwował jej praktyki religijne.

W końcu Dija Udin wyrecytował cały tekst i podniósł się z podłogi.

– Koniec? – zapytał Lindberg.

– Opuściłem sobie tym razem suplikacje. Normalnie odmawiam trzy ostatnie sury i trzy razy *astagfirullah*. No, ale normalnie też się obmywam, co w tej sytuacji byłoby problematyczne.

Alhassan omiół wzrokiem korytarz i wypatrzywszy niewielką torbę, sięgnął po nią.

– Trzeba zacząć zbierać zapasy – powiedział, po czym przekonał się, że jest pusta. – Wpadłeś na to, jak dostać się na mostek i znaleźć odpowiedzi

na kilka pytań?

– Mniej więcej.

Dija Udin spojrzał na astrochemika pytająco, odrzucając torbę i łowiąc spojrzeniem kolejne znalezisko.

– To znaczy? – dopytał.

– Nie znajdziemy żadnego wjazdu, to jasne. Nie wyjdziemy też z wind do szybu.

– Ano nie, jak pokazuje praktyka.

– Ale możemy opuścić statek.

– Co? – zapytał nawigator, zrywając podręczną saszetkę z ramienia jakiegoś trupa. Otworzył ją i przejrzał zawartość. Nie znalazłszy nic cennego, umocował ją sobie na przegubie dłoni. – Chcesz skorzystać z kapsuły ratunkowej?

– Nie.

– Więc o co chodzi? – zapytał Dija Udin.

– Włazy zewnętrzne nie są ani ukryte, ani zaryglowane.

– Jednak jesteś mędrce.

– Wskoczymy w kombinezony i przejdziemy po poszyciu aż do pokładu, z którego...

– Cofam, co powiedziałem.

Håkon znów uśmiechnął się blado. Przez moment patrzyli na siebie niepewnie, po czym mużłamanin skinął głową. Idąc w kierunku najbliższego wjazdu, przetrząsali wszystkie torby, plecaki i inne podręczne bagaże, na jakie natrafili. Wzbogacili się o kilka sztuk broni, ale nic poza tym. Z kilku strzelano – najwyraźniej bez skutku.

W końcu dotarli do wjazdu, którego ekipy techniczne używały do napraw. Przeszli przez grodz i znaleźli się w niewielkim, podłużnym pomieszczeniu. Gdy tylko drzwi się za nimi zamknęły, ściany się rozsunęły i zobaczyli kilka par kombinezonów.

– A co, jeśli lecimy? – zapytał Alhassan. – Otworzymy wjazd i zaraz nas wysie.

– Nie ma znaczenia, czy się poruszamy.

– Nie?

– Nie.

– Kłamiesz, naukowcu. Widzę, że nie masz o tym bladego pojęcia.

– Jestem astrochemikiem. Muszę wiedzieć choć trochę o przestrzeni

kosmicznej i próżni. Ty też powinienes, jako nawigator.

– Gówno prawda. Ja tylko wprowadzam odpowiednie dane.

Dija Udin podszedł do włącznika i popukał weń, jakby miało to pomóc w ustaleniu, czy statek się porusza.

– Poza tym włączyło się oszczędzanie energii. Napęd jest jednym z najbardziej energochłonnych elementów, więc...

– Gdybasz sobie, a tu chodzi o nasze życie – uciął muzulmanin.

Håkon spojrział na swojego towarzysza powątpiewająco, a potem sięgnął po górną partię kombinezonu. Zamknął ją na torsie, po czym włączył osłonę głowy.

– Zaraz będę dekompresować ten luk, więc radzę ci też narzucić coś na siebie.

– Widzę, że humor ci wraca razem z kolorami – odparł Alhassan.

– Po prostu chcę wiedzieć, co się stało.

Ale nie był tego taki pewien. Czasem niewiedza była błogosławieństwem.

3

Nozomi Ellyse siedziała na mostku, przy stanowisku radiooperatora. Dzień pokładowy zaczął się niedawno i miał być kolejnym leniwym epizodem w niekończącej się monotonii podróży.

Gdy tylko odebrała wiadomość z przekaźnika na Alfa Centauri Bb, wiedziała, że będzie inaczej.

Natychmiast odsunęła stojącą na pulpicie kawę, a potem obróciła się przez ramię. Na służbie było tylko kilka osób, mostek świecił pustkami. Dowódca jak zwykle znajdował się w swojej kajucie, stamtąd koordynując działania. Osobliwy typ samotnika. Ostatnim razem Nozomi widziała go, gdy opuszczali suchy dok.

Przesunęła palcem po ekranie i wklepała wiadomość do pierwszego oficera: „Transmisja z α Cen Bb. Priorytet 1”.

Po chwili zastępcą dowódcy stanął tuż za nią.

– To pewne? – zapytał.

– Jest potwierdzenie.

Priorytet 1, zarezerwowany dla komunikatów o grożącym statkowi

niebezpieczeństwie, nadawano wyłącznie, gdy nie było już innego wyboru. Był to ISS-owy odpowiednik przełkniętego wołania o pomoc.

– Coś jeszcze?

– Czeka transmisja z Ziemi.

– Wrzuć na ekran – odparł pierwszy oficer, przyjmując postawę zasadniczą.

Chwilę trwało, nim ansibl zaskoczył. Na ekranie przed Ellyse pojawił się czarnoskóry mężczyzna w generalskim mundurze, który sprawiał wrażenie, jakby przed momentem wyszedł z najgorszej stypy w swoim życiu.

– Loïc Jaccard, ISS Kennedy – odbębnił formalności pierwszy oficer, salutując.

Nozomi widziała po rozmówcy, że liczył na obecność ich zwierzchnika. Ten jednak w najlepsze... cóż, trudno było stwierdzić, co robi. Do mesy nie zaglądał, nie korzystał z siłowni i nikt nigdy nie widział, by przemierzał korytarze. Od pewnego czasu – a ISS Kennedy przebywał już w przestrzeni dość długo – zaczęły na pokładzie panoszyć się plotki, że pułkownik zasnął na wieki.

– Gdzie dowódca? – zapytał czarnoskóry.

– U siebie, panie generale.

– Trudno. Nie będziemy czekać.

– Tak jest – odparł Loïc.

– Nasłuch na Alfa Centauri odebrał przekaz z Accipitera. Znany wam jest ten statek, majorze?

– Nie.

Generał westchnął.

– Jedna z długofalowych misji badawczo-kolonizacyjnych.

Nozomi kojarzyła Accipitera i dziwiło ją, że przełożony nie zna tego okrętu. Wprawdzie był jedną z kilkudziesięciu jednostek, jakie pół wieku temu opuściły Ziemię, ale oficerowie powinni znać je wszystkie.

– Ara Maxima – dodał generał.

O ile nazw statków można było nie pamiętać, o tyle każdy mieszkaniec Ziemi znał nazwę misji. Miała na celu rozproszenie ludzkości pomiędzy gwiazdami – kilkadziesiąt załóg złożonych ze starannie wyselekcjonowanych ochotników znajdowało się w głębokiej kriostazie, wciąż czekając, aż ich okręty dotrą do celu. Minęło przeszło pięćdziesiąt

lat, ale żaden z nich nie osiągnął miejsca przeznaczenia. Accipiter powinien przemierzać kosmos jeszcze przez dobre pół wieku, nim Ziemia cokolwiek od niego usłyszy.

ISS Kennedy był zaś jednostką krótkodystansową. Wprawdzie po rozpoczęciu misji Ara Maxima wszystkie statki zostały wyposażone w komory do diapauzy, ale znajdowało się ich na pokładzie raptem kilkanaście. Mógł realizować długie loty, ale w porównaniu do Accipitera był płótką.

Nozomi przypuszczała jednak, że przekaz od generała nieprzypadkowo trafił właśnie do nich. Wbiła wzrok w naznaczoną zmarszczkami twarz i czekała, aż padnie rozkaz.

– Co to za sygnał, panie generale? – zapytał Loïc Jaccard.

– SOS.

Ellyse spojrzała na majora, a on na nią.

– Napotkali... problem? – wydukał Loïc.

– Nie znam żadnych szczegółów, Jaccard – odparł generał, pocierając czoło. – Dziś o piątej nad ranem otrzymaliśmy ansiblem zautomatyzowany przekaz SOS. Wiemy tyle, że Accipiter dryfuje w odległości szesnastu parseków od Ziemi, niedaleko Mi Arae w gwiazdozbiorze Ołtarza. Nie jest jasne, dlaczego.

Jaccard przełknął ślinę.

– Załoga została wybudzona? – zapytał.

– Tak. Sygnał świadczył, że diapauza została przerwana. – Rozmówca zrobił pauzę. – I nie chodzi o najwyższych rangą oficerów, a o całą załogę. Wszystkie komory kriogeniczne zostały otwarte. Nie muszę chyba dodawać, że najprawdopodobniej spowodowało to tak wielki spadek mocy, iż ten statek nie będzie w stanie dokończyć misji.

Major pokiwał głową, skubiąc dolną wargę.

– I możesz także domyślić się, że Kennedy ma za zadanie sprawdzić, co się tam stało.

– Tak jest.

– Ile macie komór?

Jaccard spojrzał na Nozomi.

– Piętnaście, panie generale – powiedziała.

– A załogantów?

– Przeszło pięćdziesięciu – odparł Loïc, aktywując mapę nieba na

ekranie obok. – Weźmiemy tylko podstawowy personel, resztę zostawimy na najbliższej placówce badawczej.

– Świetnie. Konieczne jest oczywiście podpisanie odpowiednich dokumentów.

– Rozumiem.

– Wchodzą w grę tylko ochotnicy. Nie chcemy obudzić się za sto czy dwieście lat z ręką w nocniku i pozwami o zmuszanie do diapauzy.

– Zadbam o to, generale.

– Jeśli jest możliwość, zadbajcie też o to, by wasz dowódca wybudził się ze swojego własnego snu kriogenicznego.

Oficerowie przez chwilę wymieniali się uwagami, ale Nozomi ich nie słuchała. Wpatrywała się w twarz generała nieprzytomnym wzrokiem. Pięćdziesiąt lat snu? Nigdy nie pisała się na takie mecyje. Kiedy Kennedy dotrze do Accipitera, jej rodzina i znajomi dożyją już swoich dni. Zanim wróci, upłynie kolejne pięćdziesiąt lat – i to tylko z jej perspektywy. Dylatacja czasu sprawi, że na Ziemi minie znacznie więcej. Chyba że w tym czasie ktoś znajdzie sposób poruszania się szybciej od prędkości światła. Ale była to mrzonka, zawsze powtarzana każdemu, kto decydował się na podróż w diapauzie.

– Skontaktujcie się ze mną, jak tylko załatwicie formalności – dodał generał. – Nie muszę mówić, że każda minuta się liczy. Im szybciej wylecicie, tym szybciej dowiemy się, co tam się, do cholery, stało.

– Nie ma z nimi żadnego kontaktu? – zapytał Jaccard.

Ellyse także kołatało się w głowie to pytanie. Nawet jeśli doszło do awarii lub ataku, a cała załoga zginęła, to systemy statku powinny same zaraportować dowództwu o tych wydarzeniach. Misja Ara Maxima była najdroższym przedsięwzięciem w historii ludzkości – i za wszystkie te pieniądze kupiono pewność, że każdy element został dopięty na ostatni guzik. Zabezpieczono wszystko, co było do zabezpieczenia. Zadbano nawet o to, by nie dało się wejść do szybów z windami.

– Kompletny *blackout* – powiedział generał. – Accipiter nie nadaje.

– Może został zniszczony? Zawsze braliśmy pod uwagę, że zbłąkany kawałek...

– Nie. Ostatni przekaz dowodził, że żaden z systemów nie jest uszkodzony.

– Więc jak to możliwe?

Czarnoskóry pokręcił głową.

– Nie wiem, majorze. I za mojego życia się nie dowiem, bo zanim tam dotrzecie, dawno będą stawiać znicze na moim grobie.

Jaccard skinął głową i uśmiechnął się lekko, jak tego wymagała sytuacja.

– Media będą miały pożywkę – zauważył.

– Nie tylko media. Każdy, kto kiedykolwiek wieszczył istnienie pozaziemskiej cywilizacji, dostanie do ręki kolejny argument na poparcie swoich tez.

Nozomi nie podzielała tych teorii. Przypuszczała jednak, że teraz będzie musiała zrewidować swoje dotychczasowe założenia. Accipiter nie zatrzymał się sam z siebie, a załoga przecież po prostu nie wyparowała.

Ellyse pomyślała, że Jaccard może już liczyć na jednego ochotnika.

4

Otworzywszy śluzę, Håkon wychylił się i złapał za zewnętrzną poręcz. Biegła przez całą długość statku, a co kilka metrów znajdowały się owalne zaczepy, gdzie można było umocować linkę od kombinezonu.

– Pomodliłeś się w intencji tego, żebyśmy przeżyli? – zapytał Lindberg, stawiając pierwszy krok w próżni przestrzeni kosmicznej.

– Uznałem, że na to trochę za późno – odparł Dija Udin.

– Świetnie.

– Za to zadbałem o to, byśmy umarli szybko i bez cierpienia.

Håkon zaczepił się i przeszedł kawałek, trzymając się kurczowo poręczy. Obrócił głowę i przekonał się, że towarzysz podąża tuż za nim. Przemknęło mu przez głowę, że to samo mógł pomyśleć dowódca, gdy pędził po korytarzu.

– Dawaj, dawaj – ponaglił go Alhassan. – Chcę to mieć za sobą jak najszybciej.

– Staram się, ale cały czas z tyłu głowy dzwoni mi sygnał alarmowy, że lepiej byłoby mieć cię przed sobą, niż za.

– Ja nie z tych, kolego. Nie zaatakuję cię od tyłu.

Håkon pokręcił głową, z trudem przełykając ślinę. Odbywał kilkanaście rund szkolenia na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej, ale zawsze widział

przed sobą Ziemię lub Księżyc. Tutaj była tylko pustka, gdzieś gdzie rozświetlona jaśniejącymi gwiazdami. Nie miał pojęcia, gdzie się znajdują ani jak daleko od celu okręt przeszedł w dryf.

Lindberg rozglądał się także po to, by upewnić się, że w okolicy nie ma żadnego obcego statku. Z ulgą stwierdził, że – przynajmniej po tej stronie Accipitera – jest tylko pustka.

– Dija Udin.

– No?

– Jesteśmy na wysokości pierwszego pokładu.

– Żadna nowość.

– Podciągnij się na wyższą poręcz i zobacz, co jest po drugiej stronie – powiedział Lindberg, patrząc po kadłubie.

– Nie.

– Trzeba sprawdzić.

– Z tym nie dyskutuję, ale ty nadajesz się bardziej.

– Niby dlaczego?

– Jesteś naukowcem, prawda?

– A ty nawigatorem. Lepiej znasz gwiazdy, powinieneś dokonać triangulacji naszej pozycji na ich podstawie, a potem wyczarować...

– Moment, hola, kolego – uciął Alhassan. – Potrafię obsługiwać systemy nawigacyjne, nie lecieć na oko.

Håkon nie miał zamiaru dłużej się przekomarzać. Zatrzymał się kawałek dalej, w miejscu, gdzie zaczynała się poręcz prowadząca na wyższy poziom. Zaczepił się, a potem podciągnął. Kątem oka widział stan przetwornika tlenu – wszystko było w porządku. Zresztą, nawet gdyby urządzenie nawaliło, miałyby dobrych kilka godzin na butli. Nie ma się co spieszyć.

Dotarłszy na grzbiet statku, przekonał się, że Dija Udin podążyła tuż za nim. Obaj niemal równocześnie przechylił się na drugą stronę.

– Ożeż, kurwa, w mordę – ocenił Alhassan. – Co to jest?

– Nie wiem. Gwiazda.

– Widzę, że gwiazda, ale jaka?

– Wiem tyle, ile ty – odparł Håkon. – Wygląda, że jest bardziej masywna niż Słońce. Typ widmowy może G3, trochę ciemniejsza od naszej gwiazdy. I sprawia wrażenie większej, ale nie wiem, jak daleko się znajdujemy.

– Widzisz? Jak się postarasz, możesz coś wyłuskać z łepetyny.
– W niczym nam to nie pomaga.
– Przeanalizuj jakieś kąty, wzory, paralaksy, i...
– Nie jestem w stanie stwierdzić niczego ponad to, co już ci powiedziałem – odparł Lindberg, omiatając wzrokiem okolicę. Odetchnął z ulgą, nigdzie nie widząc żadnego statku.

Po chwili jednak dostrzegł co innego.

– Dija Udin.

– Widzę – odparł. – Jesteśmy w jakimś systemie planetarnym.

– Gazowe olbrzymy – powiedział nieobecny głosem Håkon. – Wielkości Urana, może większe... – dodał, wskazując trzy ciała niebieskie orbitujące wokół gwiazdy.

– Skąd wiesz?

– Widzę przecież.

– Mało widać – odparł Alhassan, mrużąc oczy. – Równie dobrze mogą to być planety podobne Ziemi.

– Jak się przyjrzyysz, zobaczysz, że to planety trzeciej klasy w skali Sudarskiego.

– E tam.

– Nie masz pojęcia, co to za skala, co?

– Nie – odparł Dija Udin, obserwując z niepokojem trzy niewielkie punkty.

Håkon czuł, że serce wali mu jak młotem. Wisiał na niewielkim zaczepie w próżni i obserwował obce światy. Zdawały się być na wyciągnięcie ręki.

– Nieprzypadkowo się tu znaleźliśmy – powiedział Alhassan.

– Może i nie.

– Na którejś z tych planet może być życie.

Lindberg obrócił się i spojrzał w kierunku dziobu statku. Najwyższa pora rozwiać nieco wątpliwości, bo tkwienie na kadłubie na niewiele się zda.

– Ktokolwiek nas zaatakował, musiał pochodzić z którejś z tych planet. Albo innej, ukrytej za tą gwiazdą – ciągnął dalej nawigator.

– Uspokój się.

– Jestem kurewsko spokojny.

Håkon przypuszczał, że systemy kombinezonu już poinformowały

towarzysza o tym, że jego tętno stało się za wysokie.

– Chodź – powiedział Skandynaw. – Im szybciej znajdziemy się na mostku, tym szybciej okaże się, gdzie jesteśmy. I czy są tu planety o wysokim ESI.

– ESI?

– Skala podobieństwa do Ziemi – bąknął Lindberg. – Rzeczywiście potrafisz tylko obsługiwać system nawigacyjny, co?

– Mam jeszcze inne talenty – odparł Dija Udin, kiedy ruszyli w kierunku dziobu. Poruszali się wolno, a wraz z kolejnymi metrami nie było łatwiej. Mimo że obaj trzymali się kurczowo poręczy i przypinali do zaczepów, czuli się niepewnie, jakby zaraz jakiś podmuch miał strącić ich z gzymsu.

W końcu dotarli do jednego z włazów na przodzie statku. Håkon ubezpieczył się na uchwycie przy śluzie i otworzył panel kontrolny. Orygłował właz, a potem otworzyło się przed nimi wejście.

Znów zanurzyli się do wnętrza wypełnionego krwistoczerwonym, migającym światłem. Chwilę później zakończył się proces dekompresji i mogli ściągnąć swoje kombinezony.

Wychynęli ostrożnie na korytarz, trzymając beretty w gotowości.

– Czysto – szepnął Alhassan.

Ruszyli w kierunku mostka, obserwując pobitewny widok. Podobnie jak na poprzednim pokładzie, tak i tutaj trup ścielił się gęsto. Podłoga spłynęła wnętrznościami, krwią i fekaliami. W powietrzu unosił się smród, z którym nie radziły sobie systemy wentylacyjne.

Śluza na pokład dowódczy była otwarta na oścież. W progu leżał załogant z rozłupaną klatką piersiową. Biel połamanych kości, wystających ze skręconych zwłok, przyprawiła astrochemika o mdłości. Po mundurze wnioskował, że nieszczęśnik nosił stopień chorążego. Lindberg obrócił się przez ramię, słysząc, jak przyspiesza mu oddech. System alarmowy cicho zawodził, prócz tego nie słychać było niczego.

Dija Udin wszedł na mostek, omiatając wzrokiem pomieszczenie.

– Co tu się, kurwa, stało? – zapytał.

Håkonowi również kołatało w głowie to pytanie.

– Nie widać na ścianach żadnych wyładowań – powiedział. – Jeśli w grę wchodziła broń, to napastnicy byli niezwykle precyzyjni... albo posługiwali się nieznaną technologią.

– Albo nie było żadnych napastników – zaproponował Alhassan. – Przynajmniej nie w sensie, który masz na myśli.

– Co w takim razie?

Dija Udin wzruszył ramionami.

– Tylko Allah wie, co czeka na nas pośród gwiazd.

– Z pewnością – odburknął Lindberg, patrząc na przewrócony fotel dowódcy i kilka rozbebeszonych paneli. Wszystko to sprawiało wrażenie, jakby ktoś próbował ręcznie zdemolować mostek.

Håkon odsunął ciało leżące na fotelu pierwszego oficera, a potem pochylił się nad panelem w podłokietniku. Obrócił do siebie niewielki wyświetlacz i uruchomił go.

– Nadaliśmy sygnał alarmowy – powiedział.

– Świetnie – odparł Dija Udin. – Niech cała galaktyka wie, że jesteśmy w dupie i czekamy, aż ktoś wepchnie nas głębiej.

– Mam potwierdzenie otrzymania sygnału z odbiornika na Alfa Centauri Bb.

– Czyli Ziemia wie, że mamy przesrane?

– Mhm – mruknął astrochemik. – Ale nasz odbiornik został wyłączony, kiedy system przeszedł w stan oszczędzania energii.

Håkon próbował dojść, dlaczego tak się stało, ale nie był odpowiednio obeznany w systemach. Potrafił poruszać się głównie w aplikacjach Europlanet, zaś program operacyjny ISS-ów znał tylko w stopniu podstawowym.

– Jak długo byliśmy w diapauzie? – zapytał Alhassan, spozierając niepewnie w kierunku otwartego włazu.

– Pięćdziesiąt lat.

– Ożeż, kurwa, w mordę.

– Miałeś spać grubo ponad sto, czym się bulwersujesz?

– Nie wiem – odparł Dija Udin. – Czuję się z tym wszystkim jakoś niepewnie.

Lindberg spojrzał na ciała rozkładające się na mostku. Chętnie przeniósłby je na korytarz, jednak najpierw musiał dowiedzieć się, dlaczego okręt zatrzymał się akurat w tym systemie – i gdzie ów system jest.

Oficjalne rozkazy przyszły zaraz po tym, jak generał pożegnał pierwszego oficera ISS Kennedy'ego. Nozomi i Jaccard przejrzeni je pobieżnie, byle tylko uaktywnił się na dole przycisk, który należało wdusić, informując armię, iż zapoznano się z wytycznymi.

– Mogę na ciebie liczyć, Ellyse? – zapytał Loïc.

– Oczywiście, panie majorze.

– Tak po prostu, bez zastanowienia?

– Nie pisałam się na diapauzę, ale nie wyobrażam sobie, że miałabym wsiąść na najbliższej stacji.

Jaccard wypuścił ze świsem powietrze, podpierając plecy rękoma.

– Doceniam to – powiedział. – Skontaktuj się z rodziną... i, wiesz.

Nozomi skinęła głową. Piętnaście komór. Piętnaście osób, które dziś wykonają najtrudniejsze połączenie, jakie przyszło im nawiązać z Ziemią. Niełatwo będzie się pożegnać, ale przecież każdy zdawał sobie sprawę, że może nie wrócić. W taki czy inny sposób, kosmos zabierał już niejednego.

– Ten system... – zaczął Loïc, wskazując na jeden z wyświetlaczy.

– Mi Arae w gwiazdozbiornie Ołtarza.

– Są tam jakieś planety?

– Kilka orbituje wokół żółtego karła, gwiazdy typu widmowego G3IV-V. Temperatura powierzchni prawie sześć tysięcy kelwinów. Paralaksa sześćdziesiąt pięć tysięcznych sekund kątowych wędrówki Ziemi.

– Planety gazowe?

– Nie tylko – odparła Nozomi. – Najbliższa gwiazdzie planeta ma ESI wynoszące 0,84.

– To prawie jak Ziemia.

– Tak.

– Dlaczego nie była celem podróży? – zapytał major.

– Uznano, że istnieje nikłe prawdopodobieństwo wykrycia śladów życia pozaziemskiego.

– W porządku... – powiedział Loïc bardziej do siebie, niż radiooperatorki. Westchnął, obracając się przez ramię. Omiótł wzrokiem nielicznych oficerów zgromadzonych na mostku. – Wygłoś oświadczenie przez interkom, niech ochotnicy podpiszą oświadczenia, a potem zbiorą się w ładowni numer cztery.

– Poinformować dowódcę?

– Nie, sam to zrobię.

Na moment zamilkli, wpatrując się w wyświetlacz, na którym kilka planet okrężyło żółtego karła.

– Myśli pan, że...

– Nie chciałbym gdybać – uciął Jaccard. – Rozkaz jest jasny. Polecieć, sprawdzić sytuację, a potem kontynuować plan Ara Maxima. To jest wartość nadrzędna.

Ellyse nie była przekonana, czy Kennedy będzie w stanie przejąć pałeczkę. Mimo że technologia na jego pokładzie była o kilkadziesiąt lat nowsza od tej na Accipiterze, trudno było wyobrazić sobie, by piętnaścioro załogantów mogło zbadać planetę stanowiącą cel podróży. Załoga Accipitera składała się z egzobiologów, astrofizyków, planetologów, astrochemików, selenologów i innych naukowców. W przypadku Kennedy'ego poleci zapewne tuzin wojskowych i może trzech specjalistów, o ile aż tylu się zgłosi.

– Próbuj nawiązać kontakt – powiedział Loïc, nadal wlepiając wzrok w Mi Arae i jej planety. – Do skutku.

– Tak jest – odparła Nozomi. – Ale dopóki statek nie przełączy się na normalny tryb zużycia energii, ich odbiornik pozostanie wyłączony. Nie nadadzą nic więcej ani nas nie usłyszą.

– Mimo to próbuj.

– Tak jest.

Pierwszy oficer usiadł przy stanowisku obok i nawiązał połączenie z dowódcą. Ellyse włączyła tryb komunikatu pokładowego, po czym beznamiętnym głosem poinformowała załogę o zaistniałej sytuacji. Przypuszczała, że na Kennedym najpierw zapanuje pełna marazmu konsternacja, a potem wybuchną ożywione rozmowy. Wątpiła, by na kontynuowanie misji Accipitera było wielu chętnych. Wprawdzie każdy liczył się z sytuacjami losowymi, które sprawią, że powrót na Ziemię może zająć nawet kilka lat, ale to było co innego. To jednoznacznie przekreślało dotychczasowe życie.

Kiedy wrócą – jeśli wrócą – znajdą się w zupełnie innym świecie. Accipiter opuścił Układ Słoneczny przed kilkadziesiątu laty, a niektórzy już zdążyli zapomnieć, jak nazywał się statek. Za sto lat mało kto będzie pamiętał, że Kennedy wyruszył w misję ratunkową.

Chyba że odkryją coś przełomowego.

– I jak? – rozległ się głos pierwszego oficera, który wyrwał ją z przemyśleń.

Nozomi rzuciła okiem na boczny wyświetlacz. Ze zdziwieniem zobaczyła, ilu ludzi natychmiast pognało do swoich kajut, by przyłożyć kciuk do monitora.

– Mamy kilkadziesiąt podpisanych deklaracji – powiedziała, obracając się do przełożonego.

– Zawsze twierdziłem, że mamy na pokładzie samobójców.

– I najwyraźniej miał pan rację.

– Zgłosili się jacyś uczeni? – zapytał Loïc.

– Kilkunastu – odparła Ellyse, przeglądając listę nazwisk. – Jest też pułkownik.

Jaccard zbył to milczeniem. Nozomi była przekonana, że dowódca skorzysta z okazji, by pozbyć się brzemienia, ale najwyraźniej chciał pokierować Kennedy’ego prosto w nieznane. Dziwny człowiek.

– Panie majorze?

– Myślę.

– Mnie również wydawało się, że pułkownik...

– Pułkownik Reddington może dowodzić tym statkiem tak, jak uzna to za słuszne – uciął pierwszy oficer, ścigając brwi.

– Oczywiście, panie majorze.

– Prześlij dowódcy listę chętnych.

– Tak jest.

– I zacznijmy zastanawiać się nad tym, kogo należałoby ze sobą zabrać – dodał Loïc. – Co to za misja? O jaką planetę chodzi?

– Moment, panie majorze.

Ellyse wyświetliła odpowiednią dokumentację, po czym pobieżnie ją przejrzała. Znała ogólny zarys Ara Maxima, ale daleko temu było do pogłębionej wiedzy na temat każdej misji. Lepiej orientowali się w tym astrofizycy i kosmolodzy, względnie dziennikarze śledzący postępy poszczególnych jednostek.

– Planeta to Krauss-deGrasse-7c. Odkryta przeszło osiemdziesiąt lat temu przez teleskop, od którego wzięła nazwę. Jedna z dwóch superziem w układzie, w samym środku ekosfery.

– Gdzie się znajduje?

- W konstelacji Oriona, ponad sto dwadzieścia lat świetlnych od nas.
 - Gwiazda?
 - Krauss-deGrasse-7, pomarańczowy karzeł. Typ widmowy K2V, chłodniejsza od Słońca. Na powierzchni temperatura wynosi niecałe pięć tysięcy kelwinów. Wiek około siedmiu miliardów lat.
 - Charakter misji?
 - Egzobadawcza. Weryfikacja planety pod względem kolonizacji.
 - Na Accipiterze są kolonizatorzy?
 - Kilkudziesięciu. Mieli zostać na Krauss-deGrasse-7c, podczas gdy statek wróciłby na Ziemię ze skarbem próbek. O ile, oczywiście, planeta okazałaby się...
 - Tak, tak – uciął Jaccard.
- Nie wyglądał na wniebowziętego.
- Czego dowództwo od nas oczekuje? – zapytała Ellyse, świadoma, że pierwszy oficer zapewne dostał oddzielną dokumentację z rozkazami. Od generała usłyszeli jedynie oględne polecenia – to jego sztab miał sformułować konkrety.
- Spojrzał na nią z rezerwą, jakby zastanawiał się, ile może powiedzieć.
- Jeśli statek jest sprawny, zabierzemy go na Krauss-deGrasse-7c – powiedział po chwili.
 - A Kennedy?
 - Z załogą w diapauzie, systemy wszystko załatwią. Wyślemy go z powrotem.
 - Panie majorze, z całym szacunkiem...
 - Nie chcę tego słuchać.
 - A ja i tak zamierzam to powiedzieć – odparła Nozomi.
- Jaccard uśmiechnął się blado, więc uznała, że mimo dzielącej ich różnicy w hierarchii, może pozwolić sobie na wygłoszenie obiekcji.
- To naprędce sklecona misja, która nijak...
 - Wiem – uciął, unosząc otwartą dłoń. To tyle, jeśli chodzi o wygłaszanie obiekcji. – I masz rację, wszystko dzieje się *ad hoc*. Ale nie ma czasu do stracenia. Zanim wrócilibyśmy na Ziemię po odpowiednich specjalistów, czy zanim dowództwo wysłałoby inny statek, minąłby rok, może dwa. Jesteśmy najbliżej, Ellyse. Wybór jest prosty.
 - Tak, panie majorze, ale...
- Nozomi urwała, zobaczywszy, że na jednym z ekranów miga kontrolka

informująca o nadchodzącym połączeniu tekstowym. Wpiła weń wzrok, na moment nieruchomiejąc. Czuła, jak krew odpływa jej z twarzy.

– Co jest? – zapytał pierwszy oficer, nachylając się do niej.

– Accipiter – powiedziała, wskazując pomyślną autoryzację kodu weryfikacyjnego statku.

– Włączaj – rzucił Loïc.

6

Ociekając potem, Håkon i Dija Udin wyciągnęli ostatnie zwłoki na korytarz. Systemy wentylacyjne statku ledwo dyszały, generując tylko tyle tlenu, ile było niezbędne do przeżycia. Nie było nawet ich słychać, co sprawiało, że na pokładzie panowała niezdrowa cisza. Nieustanny szum był immanentnym elementem egzystencji w kosmosie. Gdy zanikł, robiło się niepokojąco.

Lindberg otarł czoło, a potem spojrział na mostek.

– Wypadałoby jeszcze pościerać krew i...

– Tonę gówna – dopowiedział Alhassan.

– Miałem zamiar ująć to bardziej oględnie.

– Słyszałem po tonie głosu. Dlatego ci przerwałem. – Nawigator złapał za otwartą śluzę i przechylił się do środka. – Niesamowite, że tyle tego tkwi w ciele ludzkim, gdy trzymają zwieracze i inne...

– „Niesamowite” to niekoniecznie słowo, którego bym użył.

– Najwyraźniej dysponujemy innymi słownikami.

Lingua universalis nie pozostawiała wiele możliwości opacznego zrozumienia rozmówcy. Od przeszło wieku większość Ziemiaków posługiwała się powszechnym językiem, choć lokalne dialekty najwyraźniej nie zanikły całkowicie – dowodziła tego modlitwa, którą Håkon miał okazję usłyszeć.

– Zmyjemy to, jak uporamy się z konkretami – dodał Dija Udin. – Ścierwa znikły, więc możemy się tu zabarykadować.

Håkon bez przekonania spojrział na otwartą śluzę.

– Cokolwiek zabiło ich wszystkich, niespecjalnie przejmowało się grodziami.

– Ale lubię mieć psychiczny komfort.

- Na niewiele się zda.
- Zamkniesz się, kurwa, w końcu?

Lindberg uśmiechnął się pod nosem, a potem za mużulmaninem wszedł na mostek. Zamknęli za sobą śluzę, po czym rozejrzeli się wokół.

– Dobra – zaczął Håkon. – Sprawdźmy, co mamy w gablotach awaryjnych.

Zaczęli otwierać niewielkie szafki tuż przy podłodze, wyciągając z nich wszystko, co znaleźli. Było tu trochę zapasów, kilka odbiorników radiowych, kilkanaście sztuk broni, komunikatory awaryjne, a nawet socjalki – wąskie okulary, które na Ziemi pozwalały korzystać z social media. Lindberg uniósł je na wysokość wzroku, patrząc na towarzysza.

- Po kiego grzyba socjalki w gablocie awaryjnej?
- Nie wiesz? – zdziwił się Alhassan. – Jeden z naszych je przerabiał.
- Na co?
- Wyświetlacz fantomatyczny.

Kilkanaście lat przed wylotem Accipitera urządzenia generujące wirtualną rzeczywistość zostały zdelegalizowane na całej planecie – i właśnie wtedy zaczęła się ich złota era. Gdy tylko stały się towarem zakazanym, zaczęły przyciągać rzesze ludzi. Socjalki były niegroźne – pozwalały wprowadzić śledzić znajomych nawet w niedwuznacznych sytuacjach, ale były niczym w porównaniu z fantomatyką. Håkon nieraz widział ludzi, których zupełnie zniszczyła.

- Co się krzywisz? – spytał Dija Udin.
- Po prostu dziwi mnie, że...
- Nie mów, że jesteś jednym z tych świętoszków.
- Nie jestem. Po prostu dziwi mnie, że ludzie tego jeszcze potrzebują.
- Oczywiście, że potrzebują – zachnął się Alhassan. – I oby potrzebowali jak najdłużej. Wolę, by jakiś degenerat kupił sobie przerobione socjalki i zanurzył się w fantomatycznym tworze, niż chodził po ulicach i polował na bezbronne kobiety. Celem gwałtu, rozumiesz.
- Rozumiem.
- Niech się wyżyje wirtualnie, co komu do tego?
- To, że wzmaga to jego... – Lindberg urwał, widząc, że nadajnik Accipitera ponownie zaczął działać. Astrochemik ściągnął brwi i podszedł do konsoli komunikacyjnej, a potem spojrzął bezradnie na odczyty.
- Co toto jest? – zapytał Dija Udin, wskazując na migającą kontrolkę.

– Nic dobrego.

– Czyli?

– Wygląda na to, że znowu zaczęliśmy nadawać.

– Do kogo? – zapytał nawigator, niepewnie rozglądając się wokół, jakby miało to w czymkolwiek pomóc.

– Sygnał idzie do przekaźnika na Alfa Centauri Bb, a stamtąd na Ziemię.

– I co nadajemy? Znowu SOS?

– Nie sądzę, ale... nie wiem, nie mam pełnego dostępu.

Alhassan spojrział na niego z dezaprobatą.

– Jesteśmy na mostku, do kurwy nędzy – zauważył. – Skąd masz mieć dostęp, jak nie stąd?

– Nie wiem – odburknął bezwiednie Håkon, starając się zaradzić sytuacji. Komputer pokładowy jednak nie dopuszczał go do systemów komunikacyjnych. – Wygląda na to, że ktokolwiek włączył oszczędzanie energii, teraz uchylił sobie furtkę, by nadać wiadomość.

Przez moment trwali w ciszy, patrząc po sobie. Przeniósłszy wzrok na służę prowadzącą do korytarza, nasłuchiwali.

– Myślisz, że przeżył ktoś z załogi? – odezwał się Dija Udin.

– Nie.

– Co?

– Pytałeś, to odpowiadam.

– Dlaczego nie? – zapytał Alhassan, podchodząc do włącznika. Szarpnął za rygiel manualny, sprawdzając, czy jest dobrze zamknięty.

– Gdyby to był któryś z naszych, siedziałby na mostku.

– Niekoniecznie – zaoponował Dija Udin. – Może nie uśmiechało mu się kwitnąć w trupiarni. Może zaszył się w jakimś przytulnym kącie w maszynowni. I teraz nadaje stamtąd na Ziemię, żeby przysłali nam jakiś kosmiczny holownik.

– Najszybszy statek będzie tu dopiero za kilkadziesiąt lat. To pewien problem.

– Nie przeczę.

Znow zamilkli, trwając w nerwowym wyczekiwaniu. W końcu Alhassan odchrząknął, a potem odsunął się od włącznika.

– Nie ma się co szarpać na zapas – powiedział. – Zajmijmy się naszym obecnym problemem. Gdzie, do cholery, jesteśmy?

– Siadaj przy swoim stanowisku i sam mi to powiedz.

Dija Udin sięgnął do kieszeni, po czym dobył paczki pigułek energetycznych. Łyknął jedną i poczęstował Håkona. Skandynaw pokręcił głową, wychodząc z założenia, że jest już odpowiednio pobudzony na kilkanaście nadchodzących godzin.

Alhassan zasiadł na swoim stanowisku i przeciągnął palcem po ekranie.

– Normalnie takimi rzeczami zajmuje się astrometria – powiedział. – Ja dostaję nazwę celu, wprowadzam ją do komputera, który przetwarza to na współrzędne, a potem tylko...

– Czasem zastanawiam się, do czego w ogóle potrzebny jest nawigator na statku.

– Na przykład do tego, żeby przeżyć wszystkich innych.

– I biadolić.

– Co?

– Narzekać jak stara baba.

– Z tego co pamiętam, to ty jojczysz od samego początku.

– Doszedłem do siebie.

– Tak? Widziałem, jak na mnie patrzyłeś. Teraz masz ten sam wzrok. Jakbyś myślał, że to ja wyrznięłem wszystkich w pień.

Håkon wzruszył ramionami.

– Srał cię pies, Lindberg.

– Wzajemnie.

– Widzisz przecież, że ktoś nadaje z pokładu. Jeśli kogokolwiek podejrzewać o nieczne zamiary, to właśnie jego. Lub ją, bo z tego co pamiętam, mieliśmy tu parytet w załodze.

– Mieliśmy – odparł astrochemik, lustrując szereg wskaźników na ekranie. Nic mu nie mówiły, kompletna czarna magia. Najwyraźniej jednak operowanie systemami nawigacyjnymi wymagało pewnego obycia. Dija Udin również skupił się na monitorze, więc temat umarł śmiercią naturalną.

Po chwili pigułka energetyczna zaczęła działać. Alhassan przez kilkanaście minut pracował, jakby się paliło.

– Nie mogę dokonać triangulacji naszej pozycji – powiedział w końcu.
– Dupa zbita.

– Religia nie zabrania ci przypadkiem kłąć?

– Dupa nawet nie stała blisko przekleństwa.

– Ale chyba i tak muzułmanin nie powinien?
– Jestem grzeszny – odparł Dija Udin, gasząc wyświetlacz nawigacyjny. – To tyle z mojej strony. Reszta zależy od ciebie.

– Jaka reszta?

– Nie wiem, pogmeraj w systemach, spróbuj coś wyczarować.

Lindberg przez moment zastanawiał się, czy byłby w stanie z nich cokolwiek wygrzebać, choćby najmniejszą informację, strzępek wiedzy. Ostatecznie stwierdził, że nie ma na to szans. Ktokolwiek zadbał o to, by sparaliżować działanie statku, nie był w ciemię bity. Optymistyczne założenie było takie, że to robota członka załogi – tego, który nadawał do Alfa Centauri Bb. O pesymistycznym Håkon wolał nie myśleć.

– Musimy go znaleźć – odezwał się.

– Tego kutasinę, który transmituje?

Skandynaw skinął głową.

– Chcesz znowu robić *tournée* po kadłubie, to idź sam.

– Najpierw musimy dowiedzieć się, gdzie siedzi nasz dywersant.

– I jak to ustalisz?

– A bo ja wiem?

Popatrzyli po sobie, obaj żałując, że nie trafił im się towarzyszs-survivalowiec, ktoś z ochrony albo chociaż z korpusu oficerów. Oddziały oddelegowane z armii do misji Ara Maxima składały się z prawdziwych zawodowców, którzy mieli za zadanie wytrzebić każde zagrożenie, choćby władało bronią niebotycznego kalibru i dysponowało przewagą liczebną.

Teraz ich trupy zaścielały korytarze.

– Zużycie CO₂ – odezwał się Håkon. – Gość oddycha, nie?

– Cholera go tam wie.

– Sprawdzimy, gdzie jest zmiana w stężeniu dwutlenku węgla, a namierzemy go.

– Niech będzie – odparł Alhassan. – Bierz się do roboty – dodał, tocząc wzrokiem po mostku. Nie miał bladego pojęcia, gdzie może znajdować się stanowisko astrochemika. Nigdy nie widział żadnego naukowca na pokładzie dowódczym.

Lindberg również się rozejrzał, zdezorientowany. Z pewnością ktoś tutaj odpowiadał za warunki środowiskowe na Accipiterze, trudno było jednak stwierdzić, gdzie mieściło się jego stanowisko. Na mostku było ich kilkanaście, żadne nie było opatrzone jakąkolwiek informacją. Wszędzie

znajdowały się zgaszone wyświetlacze i interfejsy do podpięcia zdalnych urządzeń.

– Jesteś tu na co dzień – zauważył astrochemik.

– Niezupełnie. Zmieniamy się, poza tym ledwo wsiadłem na pokład, a poupychali nas do komór. Nie było wiele okazji do zapoznania się z innymi nieszczęśnikami.

Metodą prób i błędów Håkon w końcu zlokalizował odpowiedni panel, a potem zaczął żmudny proces przedzierania się przez systemy statku. W końcu dotarł do kontroli atmosfery.

– Wygląda na to, że wszystko działa jak powinno. Nic nie zostało uszkodzone.

– Tyle wiem sam, skoro mogę wziąć oddech i nie wyzionąć przy tym ducha – odparł Dija Udin. – Mów, gdzie jest największe stężenie CO₂.

– Na mostku.

– A oprócz tego?

– Nigdzie – powiedział Lindberg, obracając się do swojego towarzysza.

– Na całym statku nie ma nikogo oprócz nas.

7

Przesunąwszy się w bok, Nozomi pozwoliła przełożonemu spojrzeć na krótki przekaz.

– *Rah'ma'dul* – przeczytał.

Przez moment oboje milczeli, wpatrując się w słowo widniejące na wyświetlaczu. Opadła ich zupełna konsternacja. Mimo ponowienia prośby o kontakt, nikt z Accipitera się nie odezwał. Pojawiało się tylko jedno słowo. Gdy Ellyse wypowiedziała je w myśli, zabrzmiało niepokojąco. Przypuszczała, że nie bez powodu.

– Co to znaczy? – zapytał Loïc.

– Nie mam pojęcia, panie majorze. Poza *lingua universalis* znam szereg języków, ale nigdy nie spotkałam się z takim wyrażeniem.

– Potrzeba nam jakiegoś lingwisty – odparł, prostując się. – Mamy kogoś na pokładzie?

– Mnie.

Jaccard pokiwał głową. Z zasady radiooperator miał najwięcej do

powiedzenia w sprawach językowych i trudno było przypuszczać, by ktokolwiek dysponował większą wiedzą.

– Mimo to roześlij ten przekaz do wszystkich komputerów w sieci.

– Tak jest.

– Może ktoś skojarzy – dodał, po czym zaczął nerwowo skubać dolną wargę. – I wyświetl mi listę wszystkich pasażerów Accipitera. Chcę mieć też narodowości.

Ellyse zaczęła przeglądać wykaz załogantów. Kilkudziesięciu z USA, niemal setka z Unii Europejskiej, trochę z Azji, Afryki, Oceanii. Był tam przekrój ras i nacji z całej planety, nie bez powodu zresztą – Ara Maxima miała także wymiar polityczny.

– Nie ustalimy niczego na tej podstawie – odezwała się.

– Przejrzemy narodowości.

– *Rah'ma'dul* nie brzmi jak żaden znany język.

– Czy ja wiem? – zastanowił się Jaccard. – Ma w sobie coś z arabskiego, może z jakiegoś dialektu afrykańskiego?

– Przepuściłam od razu przez translator. Żadnych wyników.

– Może nie wyłapał odmiany.

Była taka możliwość, ale tylko teoretyczna. Nozomi sądziła, że ktokolwiek nadał przekaz, nie miał nic wspólnego z ziemskimi dialektami. Nie było to wołanie o pomoc ocalałego załoganta – raczej wiadomość stanowiąca wypowiedzenie wojny.

Przejrzeli listę krajów, z których pochodzili członkowie załogi, po czym zgodnie uznali, że był to czas stracony.

– Nie mam zamiaru się poddać – zadeklarował Loïc. – Chcę wiedzieć, co to znaczy, zanim Kennedy wejdzie w przyświetną.

– Nie pan jedyny.

– Dowiedz się tego, Ellyse.

– Tak jest.

– Poproś o pomoc, kogo musisz. Wydam odpowiedni rozkaz, jeśli będzie trzeba.

– Rozumiem.

Gdy major się oddalił, Nozomi wzięła głęboki oddech i przez moment się zastanawiała. Wyświetliła listę pasażerów swojego okrętu, a potem zaczęła wyławiać tych, którzy mogliby okazać się przydatni. Był pośród nich jeden historyk, kilku socjobiologów, antropologów... i szereg innych

uczonych. Poprosiła ich o pomoc przez interkom, nikt jednak nie rozpoznał tego słowa.

Po dwóch godzinach Ellyse dała za wygraną. Wstukała wiadomość do majora, informując, że poniosła fiasko i zaczyna teraz przeglądać listę ochotników, by ustalić, który będzie najprzydatniejszy w kontynuowaniu Ara Maxima.

„Nie ma takiej potrzeby” – odpisał Jaccard. „Reddington dokonał wyboru”.

Niespecjalnie było z czym polemizować. Nozomi odgięła się na krześle i przyjrzała się ekranom przy swoim stanowisku. Po chwili na jednym z nich pojawił się licznik, a cichy dźwięk komputera pokładowego oznajmił, że rozpoczęło się odliczanie. Za czterdzieści pięć minut mieli wyruszać.

Ellyse dostrzegła, że otwiera się śluza na mostek. Po chwili próg przekroczyła Channary Sang, niska Khmerka, która formalnie robiła za szefa ochrony, zaś nieformalnie za największego upierdliwca na pokładzie. Sytuację pogarszał fakt, że Nozomi dzierżyła stopień chorążego, zaś nowoprzybyła porucznika.

Skinęły do siebie, a potem Channary zasiadła na stanowisku obok. Odchrząknęła znacząco, co Ellyse postanowiła zignorować.

– Kiedy wejdziemy do tych pieprzonych kokonów? – odezwała się Sang.

– Mniej więcej dwie godziny po starcie – odparła służbowym tonem Nozomi. – Zazwyczaj tyle zajmuje sprawdzenie wszystkich systemów.

– Jak dla mnie to absurd.

Nie po raz pierwszy Ellyse przekonała się, że Channary szuka okazji, żeby zamienić kilka słów. Niespecjalnie jednak ją to interesowało. Przez moment panowała błoga cisza.

– Ile zajmie nam podróż?

– Około pięćdziesięciu lat, pani porucznik.

– A więc tym bardziej to przedsięwzięcie pozbawione sensu – bąknęła Khmerka. – Zanim tam dolecimy, wszyscy pomrą. O ile już nie pomarli.

– Być może.

– Więc po co się fatygować?

– By kontynuować misję – odparła niechętnie Ellyse. – Ktoś musi doprowadzić Accipitera do celu.

– W porządku, załóżmy, że masz rację – powiedziała Channary, obracając się do rozmówczynie. – Uznajmy, że dowództwo spisało już ludzi na straty, liczy się tylko statek.

Nozomi skinęła głową.

– W takim razie dlaczego tak się spieszyć? Po co wysłać jednostkę, która nie ma odpowiedniego zaplecza personalnego? Piętnastu ludzi? Niezła armia kolonizacyjna.

– Być może chcą dotrzymać terminu.

Plus minus pięćdziesiąt lat, pomyślała Nozomi.

– Nie kosztem misji, Ellyse. Nie pozwoliliby sobie na to.

Nozomi obróciła się ku Khmerce.

– Więc dlaczego tak się spieszą, pani zdaniem?

– Ty mi powiedz – odparła Sang, wskazując na szereg wyświetlaczy. – Bo przypuszczam, że ma to coś wspólnego z wiadomością, którą otrzymałaś.

– Nie sądzę.

Channary zamilkła, wzruszając ramionami. Przez moment obie wpatrywały się w krótki przekaz z pokładu Accipitera. Ellyse musiała przyznać, że argumenty jej rozmówczynie nie były pozbawione sensu. Jeśli dowództwo chciało uratować statek i misję – a nie załogę – nie było dobrego powodu, by tak się spieszyć. Rok w jedną czy drugą stronę nie robił żadnej różnicy, jeśli wziąć pod uwagę, ile czasu zajmie podróż. Skąd więc ten pośpiech? Nozomi nie mogła znaleźć odpowiedzi na to pytanie. Zaczynała za to coraz bardziej obawiać się, że nie powróci z tej misji.

8

Dla zdrowia psychicznego Håkon przyjął, że sygnał na Alfa Centauri Bb wysłał jakiś automat. Dija Udin nie podzielał jego poglądu.

– Ale pierdolisz – skwitował. – Jeśli statek cokolwiek nadawał, to bynajmniej nie sam z siebie.

– Niekoniecznie, może...

– Pierdzielisz takie bzdury, że uszy więdną – uciął Alhassan. – Weź się w garść i przyznaj przed sobą, że cokolwiek rozbebeszyło załogę, nadało też wiadomość.

Lindberg wstał ze swojego miejsca, a potem przeszedł po mostku. Zrobił dwie rundki i opadł na fotel kapitański. Znajdował się w centralnym miejscu pokładu dowódczego, a siedzisko obracało się o trzysta sześćdziesiąt stopni. Z zagłówka wychodził HUD, niby przezroczysty kask, na którym wyświetlały się informacje o systemach Accipitera. A przynajmniej powinny, bo teraz, gdy Håkon go aktywował, zobaczył jedynie lakoniczną informację, że aktywny jest tryb oszczędzania energii.

Poziom CO₂ sprawdzony, skwitował w duchu. Jedyne miejsce, w którym był wyższy, to mostek. Lindberg gorączkowo zastanawiał się nad tym, co im pozostało, by namierzyć osobę nadającą sygnał, ale miał pustkę w głowie. Od kiedy został wybudzony z diapauzy, czuł, że nieustannie balansuje na granicy paniki. Podobnie działo się zresztą z jego towarzyszem – i nie trzeba było specjalisty, by to stwierdzić. Obaj mieli huśtawki nastrojów, stali się drażliwi i nie potrafili odnaleźć się w natłoku własnych lęków.

– Będziesz teraz udawał dowódcę? – burknął Dija Udin. – Przypominam, że jestem wyższy stopniem. Głównie dlatego, że ty żadnego nie masz.

– Ale góruję nad tobą w każdej innej kwestii.

– Jak cholera – odparł Alhassan, wyłączając HUD w podłokietniku fotela. Wyświetlacz cofnął się przed twarzą Skandynawa i schował w zagłówku. Håkon podniósł się i znów zaczął chodzić po mostku.

Dija Udin obserwował to z rosnącym niepokojem, jakby spodziewał się, że za moment towarzyszowi zupełnie odbije.

– Co robisz?

– Usiłuję się skupić. Pomyśleć.

– Weź tabletkę – zaproponował Alhassan, wyciągając pudełko z pigułkami energetycznymi. Tym razem Lindberg skorzystał z propozycji, uznając, że może dzięki temu łatwiej będzie zebrać myśli.

Po kilkunastu minutach okazało się, że się nie pomylił. Stanął przy stanowisku nawigatora jak rażony piorunem, a potem wpił wzrok w oczy Dija Udina.

– Skafander – powiedział.

– Co skafander?

– Nadawca sygnału musiał wiedzieć, że będziemy namierzać zmianę w stężeniu dwutlenku węgla.

Dija Udin podniósł się z krzesła.

– Więc wziął kombinezon – dokończył Alhassan, po czym klepnął towarzysza w ramię. – Sukinkot siedzi gdzieś z hełmem na łbie i korzysta z przetwornika tlenu.

– Tak.

– Błysk twojego geniuszu mnie poraził, Lindberg. Jednak na coś mi się przydasz, prócz potencjalnego dania, którym się posilę, gdy skończą się zapasy.

Håkon uśmiechnął się pod nosem, a potem zasiadł przed najbliższym wyświetlaczem. Padło na stanowisko radiooperatora – postawnego Azjaty, z którego wyniesieniem mieli wcześniej nielichy problem. Miał pogruchotane kości i rozplątane trzewia, przez co zostawił na swoim miejscu ciemną, lepka maź.

– Co robisz? – zapytał Dija Udin.

– Sprawdzam, gdzie brakuje skafandra.

Przesunął kilkakrotnie palcem po wyświetlaczu, a potem znieruchomiał.

– No? – ponaglił go Alhassan.

– Na całym statku brakuje tylko trzech kombinezonów – powiedział astrochemik. – Dwa zabraliśmy z niższego pokładu. Trzeci znajdował się tuż za służą. – Obrócił się w kierunku wyjścia i wskazał je wzrokiem.

Dija Udin pokręcił głową, jakby nie przyjmował tego do wiadomości.

– Nie – powiedział.

– Obawiam się, że tak. Zaraz za włazem jest awaryjna gablota z kilkoma skafandrami.

– Ale wszystkie włazy, wszystkie szyby...

– Są zamknięte – dokończył Skandynaw. – Więc jeśli żadna ze służ zewnętrznych nie była otwierana, ten facet nadal jest gdzieś na tym pokładzie.

– Sprawdź to.

Okamgnienie zajęło przekonanie się, że od momentu wybudzenia załogi tylko dwa włazy były otwierane. Obydwa przez załogantów, którzy teraz znajdowali się na mostku.

– W porządku, w porządku... – powiedział Dija Udin. – Mamy broń, on jest jeden.

– Mamy też górę trucheł świadczących o tym, że rozkład sił nie ma

większego znaczenia.

Alhassan przecesał nerwowo włosy.

– Rozhermetyzujmy korytarz i wszystkie kajuty na tym pokładzie – zaproponował.

– Oszczędzanie energii.

– No tak... – odparł muzułmanin, tocząc wzrokiem wokół. – To może... bo ja wiem? Może byśmy...

– Nic nie pomoże, jak będziesz tak memłał.

– Pobudzam umysł.

– To przestań – odparł Håkon. – Nic dobrego z tego nie będzie.

– Lepsze to, niż siedzieć jak kołek i czekać na śmierć.

Lindberg obrócił się przez ramię i spojrzał na właz prowadzący do korytarza. Poczuł, że robi mu się sucho w ustach. Jeśli tylko grafenowa grodz dzieliła ich od tworu, który pozabijał wszystkich na pokładzie, Alhassan powinien już wznosić modły o godne przyjęcie w raju.

– Ile tam jest kajut? – odezwał się Dija Udin.

Håkon spojrzał na plan tej części statku.

– Kilkanaście. Pokład dowódczy ze względów bezpieczeństwa jest najmniejszy. Im mniej tuneli, wind i szybów, tym mniejsze prawdopodobieństwo, że zostaną wykorzystane przez wroga.

– Wytłumaczyłbym chętnie projektantom parę rzeczy – bąknął Alhassan, pochylając się nad ekranem. – Kilkanaście kajut... to niedużo.

Lindberg skinął głową.

– Może udałoby się wypłoszyć łachmytę, a potem go zarżnąć?

– Jak? – zapytał Skandynaw.

– No, nie wiem, najlepiej zniecka.

– Cała załoga...

– Tak, tak, ale wychodzę z założenia, że oni się bronili, a my będziemy atakować. Zmieni się dynamika, rozkład sił. Teraz to my dybiemy na niego, a nie na odwrót.

– I w jaki sposób ma nam to pomóc?

Muzułmanin popatrzył na towarzysza, jakby ten okulał na umyśle.

– Nie będę ci tłumaczył tak podstawowych zasad prowadzenia konfrontacji – odparł po chwili Dija Udin.

Lindberg pokręcił głową. Jemu również nie uśmiechało się tkwienie na mostku i czekanie na śmierć, ale niespecjalnie przemawiała do niego

argumentacja nawigatora.

Wziął kolejną pigułkę energetyczną, zastanawiając się, co począć. Gdyby dysponowali pełną mocą Accipitera, możliwości byłyby nieograniczone. Wystarczyłoby zdekompresować pierwszy pokład albo rozpylić na nim środek trujący. Względnie skorzystać z systemów bezpieczeństwa, od których się tutaj roiło – w większości pomieszczeń i korytarzy nawet ściany mogły działać jako system obronny, rażąc prądem.

– Cały wysiłek konstruktorski o kant dupy rozbić – bąknął do siebie Håkon.

– Co?

– Nic. Masz rację.

– Że trzeba go położyć trupem?

– Tak. Nie pozostaje nam nic innego, jak zrobić to w tradycyjny sposób.

Alhassan popatrzył niepewnie na śluzę, jakby od słów do czynów była zbyt daleka droga. Przeniósł wzrok na berettę astrochemika, leżącą na jednym z pulpitów, a potem na stos broni, który zgromadzili na podłodze.

Wybrali kilka sztuk, po jednej do każdej dłoni, a resztę umocowali za paskami spodni. Stanęli przed włazem i pokiwali głowami.

– Myślisz, że z Ziemi wysłali jakąś misję ratunkową? – zapytał Dija Udin, łapiąc za uchwyt.

– Pewnie tak.

– Chyba że ta wiadomość zawierała polecenie, by tego nie robili – odparł Alhassan. – Wiesz, ten facet mógł powiedzieć im: „wszystko w porządku, chwilowy problem, ruszamy dalej na Krauss-deGrasse-7c, bez odbioru”.

– Jakie to ma znaczenie? I tak będą tu za pół wieku.

– Zastaną tylko nasze kosteczki – odparł Dija Udin i zaśmiał się nerwowo.

– O ile próżnia nie wbije się na pokład i nas nie zakonserwuje.

– No tak.

– Albo o ile nie załatwimy tej sprawy – dodał Lindberg, wskazując na śluzę. – I nie ruszymy dalej w drogę.

– Nie mam zamiaru z tobą kolonizować żadnej planety.

– Ani ja z tobą. Prędzej wziąłbym na towarzysza orangutana.

Nawigator otworzył właz, po czym obaj wycelowali broń w otwarty korytarz. Rozległ się dźwięk ładujących się mechanizmów, ale nie doszło do rozładowania energii. Stali tak przez moment, trzymając palce na spuście. W końcu ruszyli, ramię w ramię, omijając ciała, które wcześniej ułożyli w korytarzu.

Wnętrze tętniło czerwonym blaskiem, wokół panowała zupełna cisza. Słyszeli tylko swoje oddechy i ostrożnie stawiane kroki. Håkon czuł, że coraz trudniej mu przełknąć ślinę.

Im dalej odchodzili od mostka, tym bardziej wydawało się, że światło słabnie. Potrząsnął głową, starając się przekonać samego siebie, że przemawia przezeń strach. Sytuacji nie poprawiał fakt, że Alhassan oddychał nierówno, nerwowo rozglądając się na boki.

Dotarli do pierwszej kajuty i bez słowa przekroczyli próg. Wewnątrz zobaczyli przewrócone meble, zniszczone rzeczy osobiste i rozbite wyświetlacze obrazów, porzucane na podłodze.

– Kajuta dowódcy – powiedział Dija Udin, obracając się kontrolnie przez ramię.

Lindberg dostrzegł zacieki krwi po drugiej stronie pomieszczenia i wskazał go nawigatorowi. Obaj powiedli wzrokiem wokół.

– Nie widzę nigdzie ciała – odezwał się muzulmanin.

– Ja też nie.

– To skąd ta krew?

– Nie wiem. Chodźmy dalej – odparł Håkon, czując, że trzęsą mu się nogi.

Opuścili kajutę i ruszyli dalej korytarzem, mijając kilka otwartych grodzi. W pomieszczeniach widać było ślady walki, ale ani jednego ciała. Wszędzie unosił się odór śmierci.

Wyszędłszy z przedostatniego pomieszczenia, stanęli przy końcu korytarza. Do sprawdzenia została im już tylko jedna kajuta.

– To... to na nas tam czeka – powiedział Alhassan.

Håkon musiał otrzeć czoło z zimnego potu.

Zrobili krok w kierunku otwartej śluzy. Lindberg dostrzegł, że wylewa się stamtąd strużka krwi.

Naraz zatrzymali się jak rażeni piorunem. Doszedł ich cichy odgłos, którego nie mieli prawa usłyszeć. Hełm, który ten człowiek miał na głowie, powinien tłumić wszystkie dźwięki.

– *Rah'ma'dul* – rozległo się.

9

ISS Kennedy wyruszył po krótkiej odprawie na stacji, gdzie pozostawił większość załogi. Życzenia powodzenia przekazał aktualny dowódca armii, szefowie Europlanet, a w końcu nawet prezydenci wszystkich konfederacji ziemskich. Słuchając ich, Nozomi myślała o tym, że gdy się obudzi, nazwiska tych polityków będą jedynie niewyraźnym wspomnieniem dla mieszkańców Ziemi. Zresztą mogło się okazać, że wielkie twory geopolityczne przestaną istnieć, a zastąpi je globalny rząd. Niejeden politolog wieszczzył to od lat.

Załoganci zajęli swoje miejsca na mostku, a potem przystąpili do sprawdzania systemów. Przedtem zrobiły to dwa niezależne od siebie mechanizmy, ale ludzkie oko było niezastąpione. Musieli być pewni, skoro statek miał samodzielnie podróżować przez następne pięćdziesiąt lat. InASA otrzymywała wprowadzanie ansiblem zautomatyzowane raporty, ale przykład Accipitera udowadniał, że wystarczy spadek mocy, by Ziemia była bezradna.

– Maszynownia zgłasza gotowość – rozległ się głos głównego inżyniera, a po nim nastąpiła litania podobnych deklaracji.

– Astrometria gotowość.

– Ochrona gotowość – odezwała się Channary Sang.

– Komunikacja gotowość – dodała Ellyse.

Gdy formalnościom stała się zadość, Jaccard dał znak, by obrać kurs na Mi Arae w konstelacji Ołtarza. Pułkownik Reddington nadal nie opuszczał kajuty i to na barkach Francuza spoczęła odpowiedzialność za pierwszy etap podróży.

– Czternasta osiemnaście czasu Zulu – odezwał się Loïc, wstając z obrotowego fotela. – Ustawić odliczanie na sto dwadzieścia minut. Start.

Nozomi obróciła się przez ramię i spostrzegła napięcie na twarzy przełożonego. Toczył wzrokiem po stanowiskach, jakby tylko czekał, aż ktoś zgłosi wystąpienie problemu.

Dwie godziny. Tyle czasu zostało, by stwierdzić czy statek jest gotowy na długi rejs międzygwiazdny.

– Nadal brak kontaktu? – zapytał Jaccard.

– Cisza w eterze, panie majorze – odparła Ellyse.

Loïc opadł ciężko na fotel dowódcy, a radiooperatorka dostrzegła kątem oka, że łypie na nią siedząca obok Channary. Nozomi posłała jej pytające spojrzenie.

– Dobrze byłoby powiadomić ocalałych, żeby się stamtąd nie ruszali – zauważyła szefowa ochrony.

– Co?

– W przeciwnym wypadku ten, kto wysłał sygnał, zabierze stamtąd Accipitera i tyle go będziemy widzieć.

Rozległy się inne przyciszone rozmowy. Pierwsze napięcie opadło, ludzie zaczęli się rozluźniać.

– Accipiter będzie na nas czekać – odparła Ellyse.

Sang zaśmiała się pod nosem.

– Jeśli załoganci są samobójcami, to tak – powiedziała. – Gdybym była na ich miejscu, pierchłabym z Mi Arae jak najszybciej. Cokolwiek się tam stało, z pewnością było hekatombą.

Nozomi wbiła wzrok w oczy rozmówczyni, w duchu przyznając jej rację. Zanim Kennedy dotrze na miejsce, Accipiter dawno odleci, być może kontynuując misję, a być może wracając na Ziemię. Nie wzięła tego pod uwagę, nie było na to czasu. A przedstawiało to pewien problem.

– Panie majorze – odezwała się Ellyse. – Być może powinniśmy mieć coś na uwadze.

– Co takiego? – zapytał Jaccard, obracając się na krześle. Gdy zobaczył nietęgą minę radiooperatorki, podniósł się i podszedł do jej stanowiska. Nozomi wskazała siedzącą obok Channary, a ta szybko wyłuszczyła problem przełożonemu.

Loïc sprawiał wrażenie, jakby oberwał obuchem.

– Dlaczego nikt tego nie uwzględnił? – zapytał.

Żaden z załogantów się nie odezwał, jednak Ellyse pomyślała, że wcześniej nie zakładali, by ktokolwiek przeżył. Dopiero enigmatyczna wiadomość zmieniła ich przypuszczenia.

– Cała stop – powiedział Jaccard, obracając się przez ramię. – Do ciągu zero.

– Tak jest – potwierdził nawigator. – Do ciągu zero.

Chwilę później rozpoczął się zmundny proces modyfikacji planu lotu.

Loïc chodził pomiędzy stanowiskami, doglądając wszystkiego osobiście. Raz po raz kłął przy tym cicho.

– W porządku – powiedział w końcu, wracając do Ellyse i Sang. – Kennedy wybudzi nas tylko wówczas, gdy w systemie planetarnym Mi Arae czujniki wykryją inną jednostkę. W przeciwnym wypadku poleci dalej, ku Krauss-deGrasse-7.

Nozomi uznała, że to zgrabny pomysł. Jeśliby wybudzić z diapauzy kogokolwiek, należałoby czekać kilka miesięcy, zanim można byłoby na powrót umieścić go w kriokomorze. O ile nie robiło się tego zbyt często, ludzki organizm dobrze znosił hibernację – problem pojawiał się dopiero, gdy nie przestrzegano odpowiednich interwałów.

– Maszynownia zgłasza gotowość – rozległ się głos głównego inżyniera.

Powtórzyła się wyliczanka gotowości, a potem major nakazał wyzerować czas i przeprowadzić dwugodzinny test wszystkich systemów.

Nozomi nie miała wiele do roboty. Zmiana założeń nie miała nic wspólnego z komunikacją, więc nie modyfikowała wcześniej ustalonych procedur. Włączyła listę pasażerów, chcąc zobaczyć, kogo Reddington wybrał, by kontynuować misję Ara Maxima.

Szybko stwierdziła, że trudno uznać tych ludzi za odpowiednich kandydatów na kolonizatorów. Stanowili jedną z najlepszych załóg w całej armii, ale nadawali się do krótkodystansowych misji badawczych, podobnie zresztą jak sam statek.

Oryginalne ekipy Ara Maxima zostały dobrane z największą precyzją i poprawnością polityczną – na pokładach mieli znaleźć się ludzie wierzący, niewierzący, różnych wyznań, o różnej orientacji seksualnej, odmiennych poglądach politycznych, czy w końcu pochodzący z każdego zakątka Ziemi. Jak ognia unikano zarzutów o dążenie do ustanowienia jednolitych kolonii. Różnorodność miała być podstawą.

Na pokładzie Kennedy'ego zaś żadne parytety nie obowiązywały – ani płci, ani narodowości, ani wyznania. W dodatku Reddington dobrał sobie ekipę zgodnie z kryterium przydatności w przestrzeni kosmicznej, nie na planecie.

Koniec końców będzie to PR-owa katastrofa dla całej misji Ara Maxima, stwierdziła w duchu Ellyse. Obecnie jednak nikogo to nie interesowało – konsekwencjami będą martwić się politycy, którzy jeszcze

się nie urodzili.

Po chwili dostrzegła, że pochyła się ku niej Channary Sang.

– Nie masz jakichś spraw bezpieczeństwa do sprawdzenia? – bąknęła.

– Nie – odparła Khmerka. – Podobnie jak ty, nie muszę niczego modyfikować.

– Zawsze możesz sprawdzić wszystko jeszcze raz.

– Sprawdziłam dwa razy – odparła Channary. – A ty, jak widzę, analizujesz załogę, która zasiedli nową planetę.

Ellyse pomyślała, że osoba pokroju Sang nigdy nie trafiłaby na listę kolonizacyjną żadnego ze statków. Władze miały niemały wybór – już w pierwszych dniach po ogłoszeniu rekrutacji zgłosiło się przeszło dwadzieścia milionów ochotników, gotowych zamrozić się na kilkadziesiąt lat i po tym czasie trafić na obcą planetę. Dobierano kandydatów nie tylko według klucza różnorodności, ale także jakości. Mówiono o ludzkich zasobach kolonizatorskich, starając się odczłowieczyć cały proces. Ustalono szereg wyśrubowanych kryteriów, nierzadko sprowadzających się do absurdu – tatuaż, który Khmerka nosiła na szyi, dyskwalifikowałby ją z miejsca.

– Widziałaś kiedyś Reddingtona? – zagadnęła Sang.

– Parę razy.

– Zobaczmy, kogo tu jeszcze mamy... – odparła Channary, sięgając do wyświetlacza Nozomi. Przesunęła listę z nazwiskami.

Jeffrey Reddington, pułkownik. Dowódca.

Loïc Jaccard, major. Pierwszy oficer.

Jurij Zakarewicz, major. Drugi oficer.

Z tercetu rządzącego niepodzielnie na Kennedym, Nozomi darzyła sympatią jedynie Jaccarda. Pułkownik był tylko enigmatycznym cieniem, snującym się po pokładzie gdy nikt nie patrzył, zaś drugi oficer nie był ani specjalnie wylewny, ani przyjazny. Rzecz miała się inaczej w przypadku załogi maszynowni. Tam Ellyse schodziła z chęcią, podobnie jak inni załoganci. Kocmołuchom zawsze dopisywał humor.

Gideon Hallford, kapitan. Główny inżynier.

Jesús Barragán, porucznik. Drugi oficer mechanik.

Tamaya Forry, porucznik. Oficer wachtowy mechanik.

Było to trio odpowiedzialne za wszelkie rozrywki na pokładzie Kennedy'ego. Obserwując ich wyczyny, Nozomi nieraz żałowała, że wybrała karierę na mostku. Tu zawsze panował dryl, bez względu na to, kto pełnił służbę jako oficer dowodzący.

Wraz z Khmerką kontynuowały przeglądanie nazwisk, ale naraz przerwały, gdy rozległ się dźwięk nadchodzącej transmisji.

– Co to? – zapytała Sang.

Ellyse nie odpowiadała. Wbijała wzrok w kod, który świadczył, że przekaz pochodzi z przekaźnika na Alfa Centauri Bb. Nadawcą był ISS Accipiter.

– Panie majorze – odezwała się słabo radiooperatorka. – Mamy kontakt z Accipiterem.

Jaccard obrócił się na fotelu i zeskoczył z niego.

– Raportuj – rzucił.

Channary czym prędzej wróciła do swojego stanowiska, choć nieustannie patrzyła na wyświetlacz Ellyse.

– Tym razem nie tylko tekst – powiedziała Nozomi. – Jest obraz i dźwięk.

– Odtwarzaj – odparł Loïc, patrząc na zegar pokładowy. Czasu było jeszcze wystarczająco dużo, by zmienić plany.

– Potrzeba weryfikacji kodu autoryzacyjnego.

– Co takiego? – zachnął się Jaccard.

– Muszą obawiać się, że ktoś przechwyci wiadomość – zauważyła Sang.

Nozomi spojrzała na przełożonego, a ten na nią. Przez moment nie odzywali się słowem, ważąc w myśli, co kazało załodze szyfrować wiadomość.

Loïc pochylił się nad konsolą, a następnie wprowadził dane uwierzytelniające. Zaraz potem na ekranie przed Ellyse pojawiła się twarz zalana krwią. Zmęczone oczy mężczyzny o skandynawskich rysach twarzy wpatrywały się w obiektyw.

– Wzywam pomocy – zaczął. – Nazywam się Håkon Lindberg, jestem astrochemikiem na okręcie ISS Accipiter. Wzywam wszystkie jednostki, które odbierają ten przekaz, do udzielenia pomocy lub przekazania sygnału

do przekaźników na Ziemi. Statek zatrzymał się piętnaście, może szesnaście parseków od Układu Słonecznego. Działa jedynie tryb oszczędzania energii, załoga nie żyje. Wraz z nawigatorem, Dija Udinem Alhassanem, jesteście jedynymi ocalałymi. Wzywam pomocy.

Przekaz się urwał, a na mostku zapanowała grobowa cisza.

Nozomi słyszała, jak przełożony przepycha ślinę przez skurczone gardło.

– Potwierdź otrzymanie – powiedział. – I włącz transmitowanie, chcę od razu im odpowiedzieć.

Biorąc pod uwagę odległość, ansibl pozwalał na szybką komunikację – ale nie miało to wiele wspólnego z prowadzeniem rozmowy czy wymienianiem się wiadomościami przez socjalki. Lag był zbyt duży, by mówić o komunikacji w czasie rzeczywistym.

Loïc zasiadł na fotelu dowódcy, a potem uruchomił HUD. Załoganci obrócili się ku niemu, nerwowo czekając na rozwój wydarzeń. Ellyse przemknęło przez myśl, że ktokolwiek uczynił z Accipitera zbiorowy grób kilkuset ludzi, może czekać teraz na Kennedy’ego.

– ISS Accipiter, tutaj ISS Kennedy, odpowiadam na wezwanie pomocy. Mówi major Loïc Jaccard, pierwszy oficer. Wedle naszych kalkulacji, znajdujecie się w systemie Mi Arae, w konstelacji Ołtarza. Jest tam kilka planet, w tym jedna o wysokim współczynniku ESI. Jeśli potrzebujecie dokonać napraw, sugeruję, byście posadzili statek. Wedle mojego głównego inżyniera nic nie stoi temu na przeszkodzie, a gwiazda Mi Arae świeci wystarczająco mocno, by doładować wasze kolektory.

Ciągnął tak jeszcze przez chwilę, przypominając rozmówcom wszystko to, co i tak powinni wiedzieć. Nie miało znaczenia, że ostatnie pięćdziesiąt lat spędzili w kriostazie, procedury bezpieczeństwa specjalnie się nie zmieniły. Podobnie zresztą jak technologia – od kiedy opracowano kadłuby grafenowe i silniki oparte o pobór neutrin, niewiele już można było wskórać. Neutrino stanowiły najpowszechniejszy element we wszechświecie, nieskończony zasób energii, i trudno było znaleźć dla nich lepszy zamiennik.

Na koniec Jaccard poprosił o wyczerpujący raport i zapewnił, że Kennedy spieszycie z pomocą. Po chwili nadeszła odpowiedź z Accipitera, którą Nozomi wyświetliła na głównym ekranie ponad głowami załogi. Wszyscy podnieśli wzrok.

- Dobrze was słyszeć, Kennedy – powiedział Håkon.
- *Alhamdulillah* – dodał Dija Udin, wypuszczając powietrze.

Major spojrzał na Nozomi.

– Chwalmy pana – wyjaśniła. – Odpowiednik chrześcijańskiego „dzięki Bogu”.

– Z całej załogi zostaliśmy tylko my dwaj – ciągnął dalej Lindberg. – Sądziliśmy, że jest trzeci ocalały, ale sprawdziliśmy cały pokład i...

– Nie ma tutaj nikogo, *inszallah*.

– Tak... – dodał Håkon, patrząc w bok. – Wydawało nam się, że kogoś słyszeliśmy, tyle że...

– Albo się nam nie wydawało.

– Zamkniesz się? – wtrącił Skandynaw. – Przed chwilą nie chciałeś nagrywać.

Muzułmanin wydał usta i uniósł dłonie.

– Kontynuuj – powiedział.

– Dziękuję.

Håkon perorował przez dobre kilka minut, opisując wszystko, co przydarzyło im się od samego początku. Ellyse słuchała każdego słowa astrochemika, choć najbardziej interesowało ją, co usłyszeli mężczyźni podczas sprawdzania pokładu. Szczególnie, gdy Lindberg oznajmił, że to nie oni wysłali pierwszy sygnał alarmowy.

Jaccard kręcił krzesłem na boki, słuchając cierpliwie całego wywodu. Raz po raz zerkał na zegar, jakby zastanawiał się, czy nowe informacje wymagają kolejnej modyfikacji procedury inicjacyjnej.

W końcu przekaz się urwał. Na mostku znów zaległa cisza.

– Do diapauzy mamy jeszcze godzinę – odezwał się pierwszy oficer. – Jeśli ktoś ma jakieś uwagi, opinie, przemyślenia, należałoby zgłosić je teraz.

Przez moment nikt się nie odzywał. Tylko przez moment.

W pomieszczeniu znajdowała się szóstka ludzi, a mimo to, gdy wszyscy zaczęli mówić jednocześnie, trudno było zapanować nad chaosem. W końcu Loïc uciszył podkomendnych, mrużąc pod nosem, że zachowują się jak banda podrostków.

– Sang, mów – powiedział, wskazując na Channary. Ta skinęła głową i wstała.

– Postawię sprawę jasno, co niektórych tutaj może urazić. Moim

zdaniem ci ludzie już są martwi – powiedziała. – Cokolwiek ich zaatakowało, dokończy robotę prędzej czy później. Skoro oddziały bezpieczeństwa na nic się tam nie zdały, ta dwójka imbecyli też sobie nie poradzi.

Kilka osób mrukliwie wyraziło dezaprobatę.

– Nie znaczy to, że nie ma dla nich ratunku – dodała. – Proponuję wsadzić ich do komór kriogenicznych, niech czekają na przybycie Kennedy’ego. Jak przeżyją, to dobrze. Jak nie, to trudno.

Nozomi podniosła się powoli ze swojego miejsca.

– Jeśli można – powiedziała, patrząc na Loïca.

Skinął głową.

– Nie wiemy, co spowodowało masakrę – zauważyła. – Być może właśnie diapauza wyzwoliła tę reakcję. Może ściągnęła na nich...

– Gdybasz – wtrąciła Channary.

– Tak jak i pani porucznik. Możemy analizować tę sprawę pod każdym możliwym kątem, ale i tak zawsze dojdziemy do jednej konkluzji: wszystko to przypuszczenia.

– Co więc proponujesz? – zapytał Jaccard, znów spoglądając na zegar. Najwyższa pora podjąć ostateczną decyzję. Jeśli mieli przerwać kolejne podejście, należało jak najszybciej powiadomić dowództwo. Będą kręcić nosem, więc im wcześniej, tym lepiej.

– Dać im wolną rękę – powiedziała Nozomi. – Niech sami postanowią, jak zamierzają postąpić.

– Wyboru nie mają wielkiego – odparł major. – Na planecie długo nie przeżyją.

– Nie, ale przynajmniej będzie to ich decyzja.

– Która rzutuje także na nas – dodała Sang.

– W jaki sposób? – zapytała Ellyse, ale nie dała jej czasu na odpowiedź.

– Jeśli zostawią Accipitera tam, gdzie jest, Kennedy nas wybudzi. Jeśli polecą dalej, to i my nie zatrzymamy się przy Mi Arae. Zasadniczo nie ma to dla nas żadnego znaczenia.

Jaccard skinął głową. Wyraz jego twarzy świadczył, że nie ma nad czym deliberować.

– Zwiększyć prędkość – powiedział. – Zacząć przygotowania do diapauzy.

Håkon i Dija Udin obejrzeni wiadomość, a potem zerknęli na siebie z konsternacją. Na koniec pierwszy oficer Kennedy'ego poinformował ich, że rozpoczynają procedurę akceleracji, więc niebawem nie będą w stanie nadawać ansiblem. Zaraz potem mieli położyć się w komorach kriogenicznych na najbliższe pięćdziesiąt lat.

Lindberg znał dobrze to uczucie. Pamiętał opory, które miał przed tym, by dać się zamknąć w ciasnej kapsule. Potem ledwo opuścił powieki, a znów je otworzył. I ujrzał nad sobą zakrwawione ciało.

Spojrzał na Dija Udina. Nadal nie mógł być pewien, że to nie on zabił pułkownika. A jeśli tak było, być może miał z tym wszystkim więcej wspólnego, niż wynikałoby to z czystej logiki.

Håkon pokręcił głową, uznając, że lepiej nie zagłębiać się w daremne gdybanie – szczególnie takie, które prowadzi do paranoi.

– Jeśli dobrze zrozumiałem – zaczął Alhassan – to jesteśmy zdani na siebie?

– Nie. Przecież powiedział, że tu przylecą.

– Ale mamy sami postanowić, czy chcemy zostać na pokładzie, polecieć dalej, czy może zapuścić korzenie na najbliższej planecie?

– I co cię tak dziwi? – zapytał Lindberg. – Dzieli ich od nas ponad piętnaście parseków. Zanim tu doleczą, zdążymy umrzeć śmiercią naturalną, o ile się nie zamrozimy.

– Albo wcześniej nie pozabijamy.

– Tak czy inaczej, zrozumiałe, że dają nam wolną rękę.

Dija Udin rozejrzał się po kajucie.

– Czemu nie wspomniałeś o tym, co słyszeliśmy? – zapytał.

– A ty?

– Nie wiem. Brzmiałoby to historycznie, a poza tym...

– W niczym by nie pomogło – wyręczył go Håkon.

Wyłączyli panel w kajucie, a potem wyszli z powrotem na korytarz. Stojąc tutaj pół godziny temu, Lindberg był przekonany, że w środku czyha na nich śmierć. Tymczasem weszli do kajuty i niczego nie dostrzegli. Niczego poza aktywnym wyświetlaczem, świadczącym o tym, że ktoś niedawno z niego korzystał.

– Co to mogło znaczyć? – zapytał Dija Udin, gdy ruszyli w kierunku

mostka.

Rah'ma'dul odbijało się echem w głowie Lindberga. Działo na niego niepokojąco, jak zapowiedź nadchodzącej tragedii.

– Bardziej interesuje mnie, kto to powiedział – odparł Skandynaw.

– To akurat proste. Ta sama kreatura, która zabiła wszystkich wokół.

– Kreatura, cokolwiek przez to rozumiesz, nie komunikowałyby się za pomocą słów – zauważył Håkon. – Mamy do czynienia ze świadomą, inteligentną formą życia.

– Albo jednym z naszych, któremu odbiło. Allah wie, że to możliwe, patrząc na ciebie.

– Nie. – Lindberg pokręcił głową. – To nikt z naszych, Alhassan. Chyba, że znasz kogoś, kto potrafił rozplywać się w powietrzu.

Weszli na mostek i zamknęli za sobą gródź. Tym razem ze świadomością, że nie stanowi ona żadnej ochrony przed śmiercią.

Usiedli na miejscach dowódcy i pierwszego oficera, nie zważając na to, że fotele pokrywa jeszcze niezaschnięta krew. Dija Udin podniósł zmodyfikowane socjalki, a potem założył je na głowę.

– Nie żartuj.

– No co? – zachnął się muzułmanin. – Chcę się zrelaksować.

– Religia nie zabrania ci takich rzeczy?

– Nie jestem ortodoksem ze Skonfederowanych Emiratów. Dawno wyemigrowałem na...

– Mało mnie interesuje historia twojego życia.

– To siedź cicho i daj się pocieszyć jego ostatnimi chwilami – odparł Alhassan, opuszczając socjalki na oczy. Uruchomił pierwszy lepszy program fantomatyczny, a potem odgiął się do tyłu na krześle i poprawił przyrodzenie.

– Nie mam zamiaru tego oglądać.

– Spokojnie, robię tylko miejsce.

Håkon pokręcił głową, obracając fotel w drugą stronę. Szczerze powiedziawszy, wolałby dostać z Kennedy'ego konkretne rozkazy. Bez nich nie wiedział, co robić. Na pokładzie nadal mogło kręcić się to, co zabiło załogę. Jeśli obiorą kierunek na Krauss-deGrasse-7, zabiorą istotę ze sobą. Jeśli poczekają tutaj w diapauzie na Kennedy'ego, zapewne stworzenie potraktuje ich tak samo, jak resztę załogi.

– To jest jakiś byt transcendentálny, człowieku... – szepnął Dija Udin.

– Co takiego?

– Ten łowca... co na nas poluje...

Lindberg zapobiegliwie nie obrócił krzesła. Nie w smak mu było oglądać postępującą ekstazę towarzysza. Zaczepnął głęboko powietrza, myśląc o ostatniej możliwości. Mogli wziąć jeden z promów Accipitera i skierować się na planetę, o której wspominał Jaccard. Miała wysokie ESI, a byt transcendentalny zapewne zostałyby na pokładzie.

Tyle że resztę życia Håkon musiałby spędzić z tym gościem. I tylko z nim, bo najbliższe towarzystwo miało pojawić się dopiero za pół wieku.

Lindberg opuścił HUD na głowę i zaczął przeczesywać systemy statku. Nie sądził, by okazało się to pomocne, ale postanowił zająć czymś umysł. Powoli zapoznawał się z elektronicznymi trzewiami Accipitera i po chwili uznał, że nic na stoi na przeszkodzie, by podjąć kolejną próbę wyłączenia trybu oszczędzania energii.

Dija Udin jęknął cicho, a zaraz potem Skandynaw poczuł, jak ten klepie go po ramieniu. Astrochemik spojrział na towarzysza z obrzydzeniem.

– Nie szarp się – rzekł Alhassan. – Włączyłem program z masażem, nic zdrożnego.

– Jakoś w to wątpię.

– Kogo to obchodzi? – zapytał Dija Udin, obracając się wokół i rozkładając ręce. – Powiedz mi lepiej, co postanowiłeś.

– Nic.

– Siedzisz z HUD-em przed głęą, więc powinienes już do tej pory...

– Staram się wyłączyć oszczędzanie energii.

– Znowu?

– Mhm.

Alhassan podrapał się po głowie. Łyknął kolejną pigułkę energetyczną i po raz pierwszy Lindberg pomyślał, że w istocie tabletki te nie mają nic wspólnego z produktem, który znajduje się w legalnym obiegu na Ziemi. Po tej, którą wziął, nie czuł się za dobrze. Zachował jednak to przemyślenie dla siebie.

– Założmy, że najeźdźca jest tutaj, na statku... – zaczął Alhassan.

– Najeźdźca? – przerwał mu Skandynaw.

– A jak chcesz go nazywać?

– W ogóle nie chcę tego robić.

– Jakoś trzeba nazwać nieprzyjaciela, dorobić mu głębę. Będzie mniej

straszny.

– Przed momentem proponowałeś byt transcendentalny.

– Byłem wtedy masowany – odparł Dija Udin i machnął ręką. – Proponuję najeżdźcę. Oprawca, ciemieżyciel i tępiciel nie pasuje, a to jest adekwatne.

Håkon milczał, licząc, że będzie to wymowniejsze niż milion słów.

– Zatem ustalone – powiedział Alhassan. – Założmy więc, że najeżdźca jest na pokładzie. Ewidentnie nas okpił, gdy chodzi o brakujący kombinezon i zamknięte śluzy, ale trzeba uznać, że gdzieś tu się kręci.

– Okpił nas...

– Oszkapił, no. Co ci nie pasuje?

Lindberg zmarszczył czoło i nerwowo je potarł. Potem podniósł wzrok na rozmówcę.

– Czytałeś kiedyś Conan Doyle’a? – zapytał.

– Nie.

– Sherlock Holmes powiedziałby, że nasza dedukcja była oparta na błędnych przesłankach – dodał w zamyśleniu astrochemik.

– Kto?

– Nieważne – uciął szybko Håkon. – Mam na myśli, że sukinsyn musiał opuścić ten pokład, zanim włączył tryb oszczędzania energii i zablokował wszystkie włazy.

Alhassan spojrział na niego pytająco i Lindberg uświadomił sobie, że mówi niejasno. Ostatnie godziny wprawiły go w nieco mętny stan umysłu, a tabletki na pewno nie pomogła. Potrząsnął głową.

– Włączył oszczędzanie z poziomu maszynowni, dlatego nie możemy deaktywować trybu z mostka. A potem zablokował wszystkie śluzy – dodał Lindberg. – Twój byt transcendentalny siedzi tam i drwi sobie z nas w najlepsze. Na korzyść tego założenia przemawia fakt, że przemówił do nas z pokładowych systemów nagłaśniających.

Nagle wszystkie światła zmieniły barwę na jasnopomarańczową i przestały mrugać. Załoganci skamienieli, patrząc na siebie z przestachem. Dostali jasny sygnał – stanowili jedynie elementy gry, w którą bawił się ten twór.

– Obserwuje nas – szepnął Dija Udin. – Sukinkot przez cały czas nas obserwuje...

– I igra sobie z nami w najlepsze.

– Niech go strawią ognie piekielne – odparł Alhassan, tocząc wzrokiem po mostku.

Håkon również starał się stwierdzić, gdzie znajduje się obiektyw. Poniewczasie zorientował się, że na mostku nie było żadnego systemu monitorowania załogi.

Otworzył podłokietnik i wyciągnął z niego datapada, po czym wystukał na nim wiadomość: „nie widzi nas, ale słyszy”. Podał go Dija Udinowi, a ten skinął głową.

Naraz wszystkie światła zgasły.

– Chyba jednak widzi – zauważył Alhassan. – Może nie potrzebuje do tego obiektywów.

Z korytarza dobiegł odgłos cichego buczenia – dźwięk dobrze znany załogantom. Zwiastun normalności.

– Wentylacja zaczęła działać pełną...

Håkon nie dokończył, gdyż włączyły się wszystkie inne systemy, a mostek zalało jaskrawe światło z sufitu i ścian. Chwilę trwało, nim oczy przyzwyczyły się do blasku.

– Dosyć tego – powiedział muzułmanin. – Idę posłać niewiernego na tamten świat, *inszallah*.

– Tym razem nie będę polemizować.

Złapali za broń i ruszyli na korytarz. Pokonali kilka grodzi, a potem weszli do windy. Dopiero wtedy, na moment przed wydaniem komendy zjazdu do maszynowni, opadły ich wątpliwości.

– Naciskaj – odezwał się Dija Udin. – Im szybciej, tym lepiej.

– Wymanewruje nas. Zjedziemy na dół, on pojedzie do góry. Zajmie mostek, i...

– Nie musi niczego zajmować, miał całego Accipitera dla siebie.

– Mogliśmy chociaż sprawdzić odczyty na mostku.

Spoglądali na siebie przez moment. Håkon przypuszczał, że zaraz padnie propozycja, by jeden z nich wrócił do centrum dowodzenia. Byłoby to o tyle problematyczne, że drugi musiałby udać się samotnie do maszynowni.

– Srał to pies. Jedziemy – powiedział Alhassan, po czym wduśił przycisk.

Ułożywszy się w kriokomorze, Nozomi spojrzała na pochylającego się nad nią pierwszego oficera.

– Dowódca już jest? – szepnęła.

– Nie, Reddington wsiada jako ostatni.

– Kiedy ostatnio pan go widział, majorze?

– Dawno, ale to nie ma żadnego znaczenia. Może dowodzić tym statkiem nawet ze stacji kosmicznej.

Ellyse pomyślała, że gdyby tylko dowództwo wiedziało o permanentnie nieobecny pułkowniku, dwa razy zastanowiłoby się, czy wysłać na ratunek Kennedy'ego.

– Pożegnałaś się ze wszystkimi?

– Tak – odparła Nozomi, chcąc uciąć temat. Niełatwo było powiedzieć matce i ojcu, że więcej jej nie zobaczą. Ochotnicy, którzy kilkadziesiąt lat temu wsiadli do pierwszych statków Ara Maxima, byli w znacznie lepszej sytuacji. Cały świat trąbił o misji, nic nie trzeba było nikomu tłumaczyć. Teraz mało kto śledził z zainteresowaniem postępy poszczególnych jednostek. Miało minąć jeszcze kolejne pół wieku, nim pierwsza z nich się odezwie.

– Jakież wieści z Accipitera? – zapytała.

– Nie. Znając życie, prześlą odpowiedź kiedy będziemy już w diapauzie.

Ellyse skinęła głową i głośno zaczerpnęła tchu.

– Pierwszy raz w kriostazie? – zapytał major.

– Niestety. Ale oby nie ostatni. Chciałabym wrócić.

– Wszystko sprawdziliśmy, nie ma się czym przejmować.

– Prócz tego, co zatrzymało Accipitera – odparła Nozomi i podniosła się. Przełożony spojrzał na nią z dezaprobatą.

– Obawa przed diapauzą to normalna...

– Nie o to chodzi – ucięła Ellyse i na moment zawiesiła głos. – A jeśli to właśnie kriogenika sprawiła, że Accipiter zwrócił na siebie uwagę kogoś lub czegoś? To niezupełnie absurdalna hipoteza.

– Ale stanowiąca kroplę w morzu wszystkich innych – odparł Loïc, przysiadając na osłonie komory i krzyżując ręce na piersi. Omiótł wzrokiem pokład, szukając innych malkontentów, którzy mieli opory

przed długim snem. Ellyse była jedyna.

– Ale nie zaprzeczy pan, że to hipoteza cokolwiek niepokojąca – dodała Nozomi. – Bo zakłada, że nas również to spotka.

– Nie ma co snuć płonnych spekulacji, chorąży.

– Tak jest.

– Zamkniesz oczy, a zaraz potem obudzisz się i będziesz miała wszystkie odpowiedzi przed sobą.

– Jakoś ta świadomość nie koi moich nerwów.

– Trudno – odparł Jaccard z uśmiechem. – Ładuj się do kapsuły i miłych snów.

– Wzajemnie, panie majorze.

Ośłona się opuściła, a Loïc cofnął się o krok. Obserwował, jak Ellyse przez chwilę walczy ze sobą, by nie zrobić wdechu i w końcu ulega. Wyraz napięcia na jej twarzy stopniowo zanikał, a potem zastąpiła go błogość.

Jaccard odetchnął, obracając się. Wszystkie komory były już zamknięte. Zostali tylko dwaj najwyżsi stopniem oficerowie. Loïc spojrzął na zegarek, a potem na włącz wejściowy. Zaklął pod nosem.

Dowódca zjawił się kilka minut przed planowanym zakończeniem procedury hibernacji załogi. Gdyby zwlekał jeszcze trochę, prędkość przyświatlna mogłaby mieć poważne konsekwencje dla ich organizmów, ale przede wszystkim spowodowałyby to kolejne opóźnienie. Dowództwo by się wściekło, trzeba byłoby zaczynać wszystko od początku.

– Załoga znajduje się w kriostazie, panie pułkowniku – oświadczył Loïc. – Systemy sprawdzone, mamy zielone światło.

Kiedy Jaccard ostatnim razem widział dowódcę, Jeffrey Reddington nie miał gęstej siwej brody, która upodabniała go do Hemingwaya. Pierwszy oficer przypuszczał, że jak tylko załoga się wybudzi, szybko obdarzy dowódcę stosownym pseudonimem.

– Panie pułkowniku?

– Zrozumiałem – odparł Reddington, a potem skierował się ku otwartej komorze. Pochyliwszy się nad kontrolkami widniejącymi na szklanej osłonie, zaczął wprowadzać jakieś zmiany.

– Czy mogę...

– Zajmij swoje miejsce.

– Tak jest – odparł Loïc i niemal zasalutował.

Był niewierzący, ale gdy położył się w komorze kriogenicznej, był o krok od tego, by zacząć się modlić. Szyba zasunęła się nad nim, a Loïc kątem oka dostrzegł, że dowódca jeszcze grzebie w systemie.

Jaccard wziął głęboki wdech. Gdy się obudzi, będą w konstelacji Ołtarza. Wszystkiego się dowiedzą.

12

Håkon i Dija Udin przeczesali maszynownię, nie odnajdując śladów niczyjej obecności. Było tam gorzej niż w innych miejscach na Accipiterze – pokiereszowane ciała nie pozwalały stwierdzić, czy patrzy się na pozostałości po mężczyznach, czy po kobietach. W krwawej mazi zaścielającej podłogę leżały rozszarpane organy wewnętrzne i połamane kawałki kości.

– Puścisz pawia? – zapytał Alhassan.

– Jeszcze się zastanawiam.

– Jeśli nie, to tam masz stanowisko, z którego możesz kontrolować wszystkie systemy – odparł Dija Udin, wskazując konsolę przypominającą niewielki wykusz. Håkon podszedł do niej, postawił przewrócone krzesło, a potem spojrzął na wyświetlacze i klawiaturę.

– Wszystko zalane krwią – powiedział.

– Co ty powiesz?

– Chodzi mi o to, że jeśli ktoś korzystałby z konsoli, zostawiłby ślady.

Spojrzeli po sobie, nie odzywając się. Zastanowiwszy się nad tym przez moment, Lindberg utwierdził się w przekonaniu, że najeźdźca sobie z nimi pogrywa.

– Co teraz? – odezwał się Alhassan, niepewnie lustrując okolicę. Teraz, gdy zalana była jaskrawym blaskiem, obaj załoganci chętnie wróciliby do wcześniejszego półmroku. Czerwonawe światła były niepokojące, ale skrywały część makabrycznych obrazów.

– Nie wiem – odparł Håkon, opierając się o ścianę.

– Trzeba znaleźć skurwiela.

– Powodzenia – bąknął.

– Raz nam się wywinął i już straciłeś rezon? – zapytał Dija Udin.

– Straciłem rezon, kiedy zbudziłem się i ujrzałem trupa na osłonie

kriokomory.

– Nie pierdol, Lindberg. Trzeba go znaleźć, i...

Dija Udin urwał, widząc dezaprobatę Skandynawa. Musiał wiedzieć, że nie było sensu w ściganiu tego tworu. Czymkolwiek był, miał przewagę, która wykluczała sprawiedliwy pojedynek.

– W porządku – powiedział Alhassan. – Założmy, że rezygnujemy z ataku.

– Założmy.

– Co w takim razie zrobimy? Kennedy już wszedł w przyświatłą.

– Więc musimy tylko poczekać pół wieku, a potem opuścić tę latającą trumnę i przesiąść się na drugiego ISS-a.

– Takie to proste – odburknął Dija Udin, również opierając się o ścianę. Lindberg pomyślał, że sprawiają wrażenie skazańców stojących przed plutonem egzekucyjnym i czekających, aż rozbrzmi pierwsza salwa. Alhassan wyjął pigułki energetyczne i poczęstował towarzysza.

– Co to za gówno? – zainteresował się w końcu Håkon, biorąc jedną.

– Energia w czystej postaci.

– Jakieś psychotropy?

– Też. Ale nic, co zryłoby ci banię.

– Twój stan umysłu każe mi w to wątpić – odparł astrochemik, łykając tabletkę.

– Co za różnica? I tak umrzemy tu prędzej czy później.

Lindberg pokiwał głową. Trudno było z tym polemizować. W milczeniu toczyli wzrokiem po maszynowni, która przywodziła na myśl dantejskie piekło. Wentylacja działała na pełnych obrotach i nie czuli już wszystkich tych wyziewów śmierci, które wcześniej uderzały w nozdrza.

– Nie mam zamiaru sadzać tego statku na planecie – odezwał się po chwili Håkon.

– Niech Allah broni.

– W takim razie pozostaje nam kontynuować misję albo czekać tutaj na Kennedy’ego.

Dija Udin przez chwilę się zastanawiał.

– Obie te możliwości zakładają, że musimy pograć się w diapauzie. Tymczasem po pokładzie biega jakieś monstrum.

– Tak – odparł Lindberg.

– Tylko tyle? „Tak”?

– A co mam powiedzieć? Przecież widzisz, że nie potrafimy nawet go namierzyć.

– Srał cię pies, Szwedzie.

– Jestem Skandynawem.

– Jeden grzyb.

– Niezupełnie, Szwecja przestała być...

– Te, te! Nie mam zamiaru wysłuchiwać historii politycznej twojej krainy. By ją zdyskredytować, wystarczy mi świadomość, że ty przyszedłeś tam na świat.

Håkon uśmiechnął się blado, po czym obrócił do towarzysza.

– Mamy kilka miesięcy – odezwał się.

– Co?

– Musimy odczekać kilka miesięcy, zanim znów wejdziemy do kriokomór. Przez ten czas może uda nam się ustalić więcej.

– Może. A co potem?

– Poczekamy tu na Kennedy’ego.

– W porządku – odparł Alhassan.

Bodaj po raz pierwszy się ze sobą zgodzili, przez co Lindberg poczuł się nieswojo. Nie mogło jednak być innej możliwości – lot na Krauss-deGrasse-7 w gwiazdozbiore Orionu wiązały się z ryzykiem, że cokolwiek było na pokładzie, przeniesie się na planetę. A jeśli w przyszłości miała zostać skolonizowana, byłaby to tragedia apokaliptycznych rozmiarów.

– To od czego zaczniemy? – zapytał Dija Udin.

Håkon zatoczył ręką krąg.

– Chcesz to wszystko posprzątać?

– Accipiter wykona większość roboty za nas.

– Ale tak czy inaczej...

– Trzeba jakoś zająć wolny czas, Alhassan. To kilka miesięcy.

– Mamy socjalki.

– Jedną parę.

Muzułmanin roześmiał się chrapliwie.

– Żartujesz sobie? Myślisz, że na pokładzie statku liczącego kilkaset dusz był tylko jeden fantomat?

Skandynaw wzruszył ramionami. Dotychczas niespecjalnie interesowała go wirtualna rzeczywistość, ale być może teraz powinna

zacząć, skoro mieli spędzić tu tyle czasu. W dodatku ze świadomością, że coś na pokładzie nieustannie czyha na ich życie.

– W porządku – odparł Håkon. – Ale najpierw trzeba doprowadzić pokład do porządku.

– Wybacz, że zasugerowałem cokolwiek innego.

Lindberg rzucił mu powątpiewające spojrzenie, a potem pokręcił głową. Chwilę później zabrali się do roboty. Raz za razem spoglądali na główną śluzę, choć jednocześnie obaj powątpiewali, by pojawił się bicz boży, który wytrzebił załogę.

– Może to jakaś infekcja? – zapytał Dija Udin, przeciągając anihilatorem po krwistym zacieku na ścianie. Podłogami miał zająć się statek – dywan z odpowiednich części szybko załatwi sprawę.

– Infekcja?

– Może nic fizycznego nie trafiło na Accipitera – odparł Alhassan. – No wiesz...

Håkon pochylił głowę, po czym odłożył swój anihilator i zasiadł przed konsolą głównego inżyniera. Chwilę trwało, nim rozeznał się w układzie panelu.

– Co robisz? – zapytał muzułmanin.

– Sprawdzam twoją hipotezę.

– To nie żadna hipoteza, tylko strzał w ciemno.

Lindberg milczał, przesuwając słupki danych.

– Accipiter doliczył się wszystkich załogantów – powiedział po chwili astrochemik. – Wszystkie trupy są na pokładzie, plus dwóch kandydatów do tego miana.

– No i?

– Gdyby to była infekcja, ktoś zarażony musiałby przeżyć, by sobie z nami pogrywać. Tymczasem zostaliśmy tylko my.

Dija Udin oparł się o konsolę.

– W takim razie może chodzi o jakieś stworzenie, które nie ma fizycznej formy.

– Może – przyznał Lindberg, choć systemy pokładowe nie wykrywały żadnej obecności. Żadnych podejrzanych cząsteczek w sztucznie generowanej atmosferze, żadnego ruchu w powietrzu, niczego, co mogłoby świadczyć o jakiegokolwiek obecności, w jakiegokolwiek znanej formie.

Zanim nawigator zdążył wysnuć kolejną koncepcję, rozległ się dźwięk

informujący o nadchodzącej wiadomości. Nie zastanawiając się, Håkon wdusił odpowiednią kontrolkę. Obaj wlepili wzrok w niewielki wyświetlacz po drugiej stronie maszynowni.

Afrykańczyk przedstawił się jako generał Saikou Badije. Zapewnił o pełnym wsparciu ze strony Ziemi, a potem poinformował, że o szesnastej z minutami czasu Zulu, ISS Kennedy wszedł w przyświetlną.

– SCD czterdzieści dziewięć lat i dziesięć miesięcy – zakończył.

– SCD? – zapytał Lindberg.

– Szacowany czas dotarcia – odparł Dija Udin.

– W kwaterze głównej zebrało się konsylium mające ustalić, co możemy wam poradzić – ciągnął dalej czarnoskóry. – Po burzliwej dyskusji osiągnęliśmy konsensus. W naszym przekonaniu powinniście pozostać w obecnym układzie, odczekać minimum sześć miesięcy, a następnie poddać się diapauzie.

– Klękajcie narody świata – bąknął Alhassan. – Mędrcy przemówili.

– Ufamy, że nawigator posiada odpowiednią wiedzę, by zaprogramować kriokomory. Jeśli nie, przejdzie błyskawiczne szkolenie. Będziemy kontaktować się na bieżąco, oczekujemy także raportu w sprawie możliwych przyczyn katastrofy.

– Możliwych przyczyn? – zapytał Dija Udin, gdy generał oziębło ich pożegnał i znikł z wizji. – Wątpią, że mamy do czynienia z życiem pozaziemskim?

– Nawet my nie jesteśmy tego pewni – odparł Håkon. – Sam przed chwilą mówiłeś o infekcji.

Alhassan zbył to milczeniem, wrzucając do ust kolejną pigułkę energetyczną. Potem zabrali się za sprzątanie – nie spieszyło im się do nagrania wiadomości zwrotnej. Nie mieli nic do zaraportowania, a rozmowa z generałem Saikou Badije nie należała do specjalnie krzepiących zajęć.

Kilka dni później zmienili zdanie. Czarnoskóry mężczyzna okazał się człowiekiem zasadniczym, ale pomocnym. Nie mydlił oczu, mówił, co myślał i cenił sobie to, że oni również nie owijali w bawełnę.

Z każdym upływającym dniem pokłady Accipitera coraz mniej przywodziły na myśl fantomaty grozy. Z pomocą systemów oczyszczania statku, załoganci uporali się w końcu z ciałami, krwią i wnętrznościami.

Po najeźdźcy nie było śladu.

Saikou Badije codziennie przedstawiał im kolejne wnioski naukowców z Ziemi. Po miesiącu teorii było tyle, ile głów, a po kolejnych dwóch tygodniach stworzono najbardziej nieprawdopodobne historie związane z podróżującymi w czasie duchami załogi.

Mimo że na pokładzie Accipitera nie było już ludzkich szczątków, zaśnięcie w którejkolwiek z kajut graniczyło z cudem. Håkon był zadowolony, gdy udało mu się zażyć kilka godzin snu dziennie, choć i wtedy przebudzał się raz po raz. Dręczyła go świadomość, że coś nieustannie na nich czyha, napawając się strachem ocalałych. W dodatku powróciły niepokojące przypuszczenia – Dija Udin mógł być świetnym aktorem. Mógł mieć z tym wszystkim coś wspólnego.

Zmodyfikowane socjalki były prawdziwym zbawieniem. Z ich pomocą pół roku minęło jak z bicza strzelił, choć nie obeszło się bez spięć między dwoma załogantami. Pierwsze dwa miesiące udało im się przetrwać bez większych kłótni, obracając sytuacje kryzysowe w żart. Potem zaczęły się schody i nie trzeba było wiele, by wzajemnie się rozdrażnić.

Po czterech miesiącach wydzielili dwie strefy statku, by nie wchodzić sobie w drogę. Lindberg codziennie biegał od ośmiu do dziesięciu kilometrów, ćwiczył trochę na siłowni, sporo czytał, i jeszcze więcej czasu spędzał w fantomatach. Nie było to złe życie – z pewnością mógł wyobrazić sobie gorsze. Wirtualny seks był całkiem niezły, niewiele różnił się od prawdziwego. Szczególnie, że Håkon mógł przebierać wśród programów, które załoganci zgrali do systemu przed wylotem.

Ostatecznie jednak monotonia zebrała żniwa. Lindberg i Dija Udin spotkali się w mesie, nawalili w sztok, a potem zaczęli odliczać czas do momentu, gdy będą mogli ponownie zanurzyć się w diapauzie – i w błogiej nieświadomości czekać na Kennedy'ego.

Po sześciu miesiącach od pierwszego wybudzenia zaprogramowali kriokomory.

– Jesteś pewien, że nas nie zabijesz? – zapytał Håkon.

– „Pewien” to mocne słowo. Zresztą to astrochemik powinien lepiej orientować się w temacie niż nawigator.

– A co astrochemik ma wspólnego z diapauzą?

– No, rozumie te wszystkie... jakies tam procesy, zachodzące w organizmie.

– Rozumiem tyle, że zasną i będę miał spokój od twojego nieustannego

pierdzenia.

– Mam nadzieję, że to przerośnia.

– Poniekąd – odparł Lindberg, gdy Dija Udin skończył programować komory.

Muzułmanin otrzepał ręce i pokiwał głową z uznaniem. Håkon przechylił się mu przez ramię i spojrział na wyświetlacz.

– Włączyłeś gotowy program – zauważył. – Zmieniłeś tylko długość diapauzy.

– No i co z tego?

– Po pierwsze, tyle potrafiłem zrobić i ja, choć nie zajęłoby mi to tyle czasu. A po drugie...

– To trzeba było działać, przecież zachęcałem.

– Po drugie, chodzi o to, żebyśmy wybudzili się, kiedy nadleci Kennedy, nie wcześniej.

– Przecież ustawiłem...

– Ustawiłeś czterdzieści dziewięć lat z okładem i nie aktywowałeś nawet korekcji na dylatację czasu. A jak będą mieć obsuwę? Nie mam zamiaru spędzać tutaj ani dnia dłużej.

– To jak...

– Miałeś ustawić tak, by system zbudził nas, gdy sensory wykryją w okolicy statek.

– A...

– Odsuń się – dodał Lindberg, a potem pochylił się nad wyświetlaczem. Nie był pewien, czy uda mu się odpowiednio zaprogramować system, ale w najgorszym przypadku zostaną wybudzeni przez załogę Kennedy'ego. Chyba że ten podzieli los Accipitera, wówczas sen przedłuży się w nieskończoność. Była to niepokojąca myśl, szczególnie na moment przed tym, jak mieli pogrążyć się w diapauzie.

Gdy Håkon skończył, niepewnie weszli do stojących obok siebie komór.

– Ciekawi mnie, czy najeźdźca ubije nas we śnie – zastanowił się Dija Udin.

– Nie pokazywał się od pół roku.

– Co nie znaczy, że go tu nie ma.

Lindberg przytaknął mu w myśli, ale się nie odezwał. Powtarzał sobie, że nie mają innego wyjścia. Sprawdzili wszystko, co było do sprawdzenia.

Zabezpieczyli pomieszczenie z kriokomorami najlepiej, jak potrafili. Zablokowali systemy nawigacyjne statku, wprowadzając szereg kodów i haseł, które znali tylko oni.

Na niewiele się to jednak zda, jeśli najeźdźca postanowi przypuścić atak.

Håkon wziął głęboki oddech.

– Gotowy? – zapytał, trzymając palec na przycisku.

– Nie.

– Więc zaczynamy.

– Kolorowych koszmarów, sukinsynu – powiedział na pożegnanie Dija Udin.

Jego słowa odbijały się Lindbergowi echem w głowie, gdy szklana zasuwka pojawiła się tuż nad nim. Umysł przywołał nieprzyjemne wspomnienia. Krew na szybie, rozplątana twarz dowódcy.

Håkon z trudem przełknął ślinę i przez chwilę panicznie wzbraniał się przed wzięciem oddechu.

Zaraz potem odpłynął w nieświadomość na najbliższe kilkadziesiąt lat.

O Autorze

Remigiusz Mróz

Urodzony 15 stycznia 1987 r. w Opolu. Pisze przez 365 dni w roku. Popularność przyniósł mu bestsellerowy cykl thrillerów prawniczych o Joannie Chyłce i Kordianie Oryńskim. By czuć się komfortowo, musi codziennie napisać 10-15 stron i tygodniowo wybiegać 100 kilometrów.

Ukończył z wyróżnieniem Akademię Leona Koźmińskiego w Warszawie, gdzie uzyskał stopień naukowy doktora nauk prawnych. Remigiusz Mróz, jako jedyny w historii Nagrody Wielkiego Kalibru, otrzymał za rok 2015 podwójną nominację. Za „Kasację” zdobył Nagrodę Publiczności Wielkiego Kalibru..

Więcej na www.remigiuszmroz.pl